POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień | ***Dnia 27-go marca 1943r.*** | **Rok V. Nr. 12**

RACHUNEK SUMIENIA

Trzęsienie ziemi przychodzi nagle. Sieje śmierć i zniszczenie. Pozostawia po sobie pustkę i bezsilny gniew żyjących istot. Stwarza obraz świata, niepodobny do tego, który był poprzednio. Rozpadliny powstają na miejscu wzgórz, szczyty na miejscu dolin, bagna tam, gdzie były łąki, błoto zamiast czystego nadmorskiego piasku. Dzięki takim ruchom przyrody powstał świat, przez takie same ruchy zapewne przestanie istnieć. Życie istot ludzkich przeplatane jest stale zjawiskami, które przypominają w skali tysiąckrotnie mniejszej trzęsienia ziemi. Zjawiska te przeorywują głęboko oblicze przeciętnego człowieka, zarówno fizyczne, jak i duchowe. Takim zjawiskiem jest wojna. Zjawiskiem podobnym do tego jest także emigracja. Taka właśnie jak dzisiaj, ta, której jesteśmy cząstką.

Pisze i mówi się wiele, z właściwą nam wszystkim ironią i złośliwością — o naszych wadach, niedomaganiach, sporach. Podkreśla się własne błędy z jakąś przedziwną satysfakcją, mówi się o "typowo polskiej robocie," o niemożności współpracy z rodakami, o ich niesłowności, ich kompleksie władzy, ich braku poczucia obywatelskiego. Zapomina się w ferworze dyskusji i bezkrwawej walki słów o wszelkich zaletach, o wszelkiej pozytywnej pracy, o tym, co jednak się robi d o b r z e, o tym, że ci inni czasem przez wielu za przykład stawiani, też mają swe słabe strony, że mimo zapięcia na ostatni guzik przed wyjściem z koszar na miasto, mimo obliczenia co do minuty czasu przemarszu kolumny czołgów, że mimo to wszystko dostają po głowie, mimo to wszystko są dalsi od zwycięstwa, aniżeli byli kiedykolwiek przedtem. Dzieje się właśnie tak, chociaż w naszej tutaj opinii nie zawsze uznawało się zdanie tych, którzy byli zdania, że kolos niemiecki zadusi się od braku powietrza. I — serca.

Kto rzuca tu na nas takie gromy? Którzy to spośród nas? Czym jest w ogóle ten zespół emigracyjny, który dzisiaj do najszczęśliwszych, bo najbardziej wolnych, jedynie wolnych Polaków może się zaliczać? Przypatrzmy się temu bliżej.

Emigracja dzisiejsza, jak każda zresztą, jest zlepkiem typów najbardziej różnorodnych, najbardziej skrajnych, wartościowych i karierowiczów, idealistów niemal fanatycznych i zimnych materialistów, spokojnie przeliczających funty. Emigracja ma w sobie wszystkie odmiany przeciętnego człowieka, poprzez zubożałego bankiera, zamiatającego dzisiaj koszary, zwolnionego sztabowca robiącego zabawki, sprytnego geszefciarza z okolic ulicy Gęsiej, lekarza z małego miasteczka, oficera z zapadłej dziury kresowej — do ludzi o europejskich mózgach, do dobrych imion w dziedzinie sztuki, prawa, medycyny, wojska.

Wybuch wojny rzucił tych wszystkich ludzi na jedną pryczę, potem niektórych przeniósł delikatnie na sprężynowe materace, innych na drewniane łóżka. Wybuch wojny kazał tym ludziom żyć ze sobą, dzielić dosłownie stół i łoże, wzajemnie się poznawać, uzupełniać, wzajemnie sobie ustępować, zdobywać wiedzę, i — tracić ją. Wybuch wojny wyrzucił tych ludzi czasowo poza nawias własnego społeczeństwa, kazał dostosować się do nowych warunków, kazał — przeżyć, przetrwać.

Zakotłowało się wewnątrz owego emigracyjnego garnka, spod pokrywy wylatywać poczęły odpadki — dobre i złe. I właściwie bez przerwy odbywa się jakaś gra, jakaś walka, jakiś wyścig. Szara mundurowa rzesza przygląda się temu widowisku z niechęcią, nieraz z odrazą, zawsze z poczuciem obcości. Pragnęłaby widzieć "zawieszenie broni" w chwilach tak ciężkich dla narodu, pragnęłaby widzieć pełne skupienie w dziele walki o wspólne istnienie.

Z podziemi, z nor, zakamarków i cuchnących śmietnisk wylazło we wrześniu polskim trochę robactwa. Rzuciło się ono całą siłą i całym rozpędem ku licznym samochodom "granicznym." Poprzez ewakuację, wędrówki, ucieczki, upadki i wzloty przedostało się ono częściowo aż tutaj. Więcej nawet — potrafiło nieraz dojść do wyżyn, do których pewnie nie doszłoby w wolnym kraju. Małymi personaliami, intryżkami, przysługami wyświadczanymi innym — potrzebnym, podstawianiem nóg niewygodnym, szli ku górze.

Niestety niektórzy doszli. I dzisiaj właśnie nie kto inny tylko oni krzyczą najgłośniej o parszywej polskiej robocie, to oni, nie kto inny odsądzają nas wszystkich od czci i wiary po to, by na tle owego obrazu nędzy moralnej wyróść na dobroczyńców i bohaterów. Po to, by już dzisiaj budować sobie pomost powrotu do kraju w purpurowych szatach zbawców ludzkości. Po to, by za najmniejszą przysługę dziś wyświadczoną albo za wzniosłe i wygodne nicnieróbstwo i nieponoszenie odpowiedzialności wystawiać tam rachunek. Po to, by nikt z tamtych, co zostali nie potrafił poznać poprzez pióra orła łuski zwykłego gada.

Nasz rachunek sumienia za owe przeszłe lata jest prosty i nieskomplikowany. Za te przeszłe lata . . . Zrobiliśmy wiele zbiorowo, stanęliśmy na nogach mocno i pewnie, potrafiliśmy tutaj na brytyjskiej ziemi stać się magnesem dla wszystkich naszych rodaków rozrzuconych po świecie, potrafiliśmy stworzyć legendę niezwalczonego żołnierza polskiego potrafiliśmy wznieść na szczyty sławy imię polskiego lotnika. Zbiorowym wysiłkiem ludzi w marynarkach i ludzi w mundurach wnieśliśmy na łamy prasy, na fale eteru, na mapy świata, w serca ludzkie z powrotem imię wolnej Polski.

Zbiorowym wysiłkiem najmniej sławnych i najmniej uprzywilejowanych prostych strzelców, kanonierów, prostych ułanów i marynarzy stoi dzisiaj polski rząd, polskie narodowe zgromadzenie. Ich, tych maluczkich wysiłkiem. Wartownik przy bramach obozu, służbowy w "beczce śmiechu," kucharz w kompanii, dyżurny telefonista, goniec — wszyscy oni są fundamentem naszego, polskiego istnienia. Bez nich nie byłoby nic, bez nich rząd przestał by mieć tu na obczyźnie realne oparcie, bez nich imię wolnego Polaka byłoby pustym dźwiękiem. Ich zbiorowy wysiłek był i jest ogromny. Będzie dalej taki sam, może nawet większy. Bowiem im dłużej ciągną się miesiące, im więcej przemija lat, tym bardziej ciężko jest znosić koszary, tym bardziej trudno żyć tylko życiem zbiorowym, tym bardziej trudno czekać niewiadomej daty powrotu, powrotu, który nastąpi przecież poprzez największy wysiłek, poprzez ciężkie walki.

Ale wysiłek każdego z osobna nie jest największy, nie jest taki, jakim być powinien. Powiedzmy to sobie jasno i otwarcie. Przypomnijmy sobie ilość godzin, dni, miesięcy nawet wolnych, spokojnych, niczym niespodziewanym nieprzerwanym, które przeciętny strzelec, ułan czy marynarz, które przeciętny oficer zmarnował. Przypomnijmy sobie ogromne możliwości, jakie otwierały się przed każdym z nas w chwili przyjazdu tutaj na te wyspy — możliwości nauczenia się języka, którym mówi dzisiaj kilkaset milionów ludzi na świecie, a którym po wojnie mówić będzie jeszcze więcej, możliwości poznania świata i ludzi, których może już nigdy więcej w życiu nie spotkamy, możliwości przyswojenia sobie ich zalet, ich cech dobrych, pozbycia się niektórych własnych fatalnych wad. Przypomnijmy sobie ilość godzin, dni, miesięcy spędzonych przy zielonym stoliku, popatrzmy dzisiaj jeszcze na przeciętne kasyno, gdzie oprócz brydża i jedzenia nie dzieje się nic, gdzie spędza się cały czas wolny na grze, gdzie problem króla pik jest dużo ważniejszy, aniżeli zdobycie Trypolisu, a menu kołacyjne — aniżeli los dzieci polskich w Rosji. Popatrzmy na przeciętną "beczkę śmiechu," gdzie znowu głównym sprzętem jest butelka, a zainteresowaniem — program najbliższego kina.

Nauczyliśmy się żyć rozrywką i to rozrywką najbardziej bezmyślną i najbardziej nieskomplikowaną. Wielu z nas myśli prawie z niechęcią o powrocie do kraju — tak jest: p r a w i e z n i e c h ę c i ą — ponieważ wie, że tam trzeba będzie pracować, by żyć, ponieważ skończy się tam łatwy, niemęczący dzień, ponieważ nie będzie wygodnych londyńskich i szkockich synekur. Ponieważ tam, po wojnie więcej ceniony i bardziej potrzebny, będzie wysiłek jednostkowy, aniżeli nawet wysiłek zbiorowy, na który zdobyć się jest stosunkowo łatwiej. Ponieważ tam trzeba będzie liczyć tylko na siebie.

Oto nasz rachunek sumienia na początku roku 1943. Jest mimo wszystko raczej dodatni. Ponieważ ułomni duchem giną w tłumie przykrytym szarym battledressem. Lecz ci, którzy przetrwali, ci, którzy niejednokrotnie mając prawo moralne po temu, nie załamali się, ci pragną, by owo robactwo przywleczone przez chory wówczas emigracyjny organizm wytępić, by zmieść je z powierzchni ziemi, by ludzie do tego uprawnieni umieli odróżnić plewy od ziarna, by stojący wysoko umieli odróżnić szczerą przyjaźń od płaskiego pochlebstwa, by dali ze siebie wiele owym maluczkim, dla których to znaczy wszystko, a nie możnym, dla których to znaczy bardzo niewiele.

Warto to zrozumieć, warto dziś jeszcze, po czterech niemal latach tułaczki i wojny, powiedzieć sobie, że na wsparcie szylingiem zasługuje więcej ten, kto ma w całym swoim majątku tylko szylingi, aniżeli ten, który ma tylko funty. Zapominano nieraz i zbyt widocznie o roli tutaj tych właśnie maluczkich. Zbyt często faworyzowała i faworyzuje obszarników kosztem małorolnych. A to nigdy nie opłaca się na dłuższą metę.

Gromy na nas rzucają przeważnie najmniej wśród nas warci. Wszyscy, gdy ciepło ognia buzującego na kominku rozleniwi dostatecznie nasze członki, szukamy swych wad i z lubością je oglądamy pod światło, by czasem czego nie ukryć. Na szczęście krytyka nie wychodzi przeważnie poza mury szkockiego pokoju, czy poza drzwi londyńskiego "flatu." Krytyka dla krytyki, dla pogadania, dla narzekania.

Lecz gdy coś boli, gdy uderza obuchem niesprawiedliwość, gdy jest ona oczywista, gdy staje się krzywda owym maluczkim, gdy trzeba im pomóc, wtedy nie powinno być murów, nie powinno być drzwi dosyć grubych na to, by głos krytyki, głos krzywdy zagłuszyć. Winien on iść jak najszerzej, jak najdalej, jak najwyżej i dopomóc sobie i innym. Odkryć prawdziwy rozmiar zakorzenionego robactwa, które nadgryza zdrowe korzenie i kaleczy najlepsze, najbardziej zdolne do lotu skrzydła. Głos taki winien być zawsze wysłuchany. Jest bowiem głosem naszego sumienia, sumienia, które jest spokojne — zbiorowo, niepewne jutra i trwożne — indywidualnie. Trzeba mu pomóc. Pomoc ta może przyjść tylko od góry.

Wojsko na to liczy, wojsko na to czeka. Pragnie tego ponad wszystko, bowiem na tym buduje sobie obraz sprawiedliwości społecznej w przyszłej, wolnej Polsce. Bowiem to podniesie jego wysiłek zbiorowy do maximum, bowiem to, miejmy nadzieję, potrafi podnieść także wysiłek indywidualny. To zaś z kolei pozwoli nam zamknąć pod koniec bieżącego roku — może ostatniego roku wojny — nasz bilans sumienia pozycjami tylko dodatnimi.

ZYGMUNT NAGÓRSKI, jr.

Każdy żołnierz Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii jedną książkę—dla żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie

Otto Maciąg: Ostatnia szarża



Szkic sytuacyjny

WALKI NAD DOŃCEM

Trudno sobie dokładnie odtworzyć sytuację na froncie wschodnim. W najogólniejszym zarysie przedstawia się ona tak: na północy Rosjanie czynią dalsze postępy, ale już nie tak szybkie jak poprzednio, podczas gdy na południu Niemcy czynią niebywałe wysiłki, ażeby utrzymać się na stanowiskach i odbić możliwie największą ilość "odskoczni" dla przyszłej ofensywy. Tak ocenia niemieckie działania i zamiary korespondent moskiewski "*Sunday Times'a*," Alexander Werth w depeszy z dnia 20-go marca. Zaznacza on, że odbicie Charkowa przez wojska niemieckie zrobiło duże wrażenie w Moskwie i że ludność Rosji zdaje sobie sprawę, jak trudna i ciężka będzie walka.

Sprawozdawca londyńskiego dziennika niedzielnego podkreśla, że nie tyle może Charków był niespodzianką dla ogółu rosyjskiego, ile rozmiary kontrofensywy niemieckiej. W Moskwie na ogół nie przypuszczano, ażeby Niemcy byli zdolni do rzucenia do boju takiej ilości ludzi i sprzętu. Odbicie Charkowa przez Niemców zostało, jak depeszuje Werth, straszliwym bombardowaniem lotniczym, co dowodzi, że "Luftwaffe" wróciła do dawnych sposobów koncentrowania swoich sił na tym odcinku, na którym jej w danej chwili zależy. Zasoby "Luftwaffe" napewno nie są słabe na Wschodzie, jeżeli potrafi ona przejść do tego rodzaju uderzeń.

Ogół brytyjskich sprawozdawców wojskowych uważa, że armie sowieckie zapędziły się nieco za daleko, ale że *ten śmiały manewr mimo to opłacił się*. Celem uderzenia sowieckiego był niewątpliwie Dniepr i dowództwo niemieckie dobrze sobie zdawało sprawę z ambitnych planów sowieckich. Armie czerwone parły w kierunku zachodnim, jak się dało najdalej. Napotkały na opór i na rezerwy, jakich się nie spodziewały. Niektórzy sprawozdawcy wojskowi w Londynie uważają, że Niemcy ściągnęli na Wschód od 100 do 200,000 doborowego wojska z rozmaitych ośrodków zachodnich czy z Bałkanów. Daje to sposobność do twierdzenia, że brak "drugiego frontu" na kontynencie Europy sprawia, iż Rzesza może wcale bezkarnie ściągać swoje siły w miarę potrzeby — na front wschodni. Wołanie o "drugi front" podnosi się znowu. Można było oczekiwać, że w chwili gdy postępy sowieckie osłabną, wołanie to przyjdzie niejako automatycznie.

"DRUGI FRONT"

Nie wiemy, jakie decyzje zapadły w tej mierze u Sojuszników. Casablanca wyznaczyła okres 9-u miesięcy — pozostało do owej granicy przeszło pół roku. Powszechnie przyjmuje się, że *deklaracja w Casablance była zapowiedzią stworzenia drugiego frontu w tym roku* — najpóźniej gdzieś jesienią. Powszechnie również uważa się, że otworzenie tego drugiego frontu jest zależne od ukończenia działań w Tunisie /co nie jest jednak bynajmniej *nieodzowną koniecznością*/.

Odwiedziny amerykańskie ministra spraw zagr. Edena w Waszyngtonie przyczynią się, jak się sądzi w Londynie, do pewnego wyjaśnienia nie tylko zagadnień politycznych, ale i wojskowych /p. Eden odbył narady z czynnikami wojskowymi Stanów Zjd./. Przypuszczać należy, że podobnie jak lądowania w Afryce Francuskiej były przygotowywane przez sztaby W. Brytanii i USA w wielkiej tajemnicy i na długie miesiące przed rozpoczęciem wołań o "drugi front," tak i teraz plany lądowań w Europie — *zapewne w kilku punktach jednocześnie*, albowiem tylko takie desanty mają szanse powodzenia i są skuteczne jako odciągnięcie sił wroga z głównego teatru wojny — opracowywuje się w sztabach Anglii i Ameryki nie od dzisiaj. Kiedy jednak padnie hasło — zależy to od wielu czynników m.in. *od sprawy żeglugi*.

ŻEGLUGA DALEJ ZAGADNIENIEM CENTRALNYM

Ostatnie "nadzwyczajne" komunikaty z kwatery Hitlera odnoszą się do działań niemieckich okrętów podwodnych. Pisma angielskie przyznają, że ich akcja jest niebywale ożywiona i że Niemcy stawiają wszystko na tę kartę. Budują okręty podwodne w ogromnym tempie, przy czym używają do tego nie tylko stoczni na pobrzeżu Europy, ale rozlicznych zakładów *w głębi Rzeszy*. Montowanie okrętów następuje w stoczniach, ale części składowe zwozi się z rozmaitych stron Rzeszy, z Austrii, a może i Czechosłowacji.

Pobudowano w skalistych nadbrzeżach wysp Bałtyku czy Morza Północnego /kto wie czy nie w Norwegii/ liczne "*schrony*" dla okrętów podwodnych. Zdjęcia takich schronów przynosi prasa neutralna, powtarza je prasa brytyjska. Schrony betonowe o niebywałej wytrzymałości znajdują się dla okrętów podwodnych również na pobrzeżu Francji.

Wysiłek niemiecki w tej dziedzinie jest ogromny; pomimo doniesień o koncentracji niemieckiej floty wojennej /nawodnej/ w Norwegii, co budzi przypuszczenia, że Rzesza pójdzie na olbrzymią akcję "korsarską" — główne niebezpieczeństwo stanowią okręty podwodne. Z "korsarzami" nawodnymi W. Brytania zawsze sobie da radę, ale okręty podwodne to "wieczne zmartwienie" tego kraju. Podobno w Stanach Zjd. posunięto poważnie naprzód sposoby tropienia okrętów podwodnych, wynaleziono nowe metody skuteczniejszego ich atakowania, ale ciągle jeszcze ta groza wisi nad szlakami morskimi.

Przypuszczalnie walka o te szlaki będzie trwała aż do końca wojny: ostateczne wygranie tej batalii cichej, ale zażartej, nastąpi nie tyle w chwili, kiedy będzie się spuszczało na wodę więcej jednostek, aniżeli się traci, ale wtedy, kiedy wynajdzie się na niemieckie okręty podwodne taką odpowiedź, że prowadzenie wojny z ich pomocą stanie się nadmiernie kosztowne i niebezpieczne.

"*Sunday Express*" z dnia 21-go marca przynosi doniesienie, że ostatnio do Afryki Franc. przerzucono sprzęt i wojska olbrzymimi transportami: *około tysiąca jednostek brało udział w transportowaniu sprzętu i oddziałów wojskowych*. Daje to pojęcie o ogromie zadań jakie nas czekają w przyszłości w chwili otworzenia działań na kontynencie Europy.

ROZGRYWKA TUNETAŃSKA

W Tunisie położenie przechyla się wolno na korzyść Sojuszników. Siły amerykańskie zdobyły ważne pozycje i wydaje się, że *niebawem Sprzymierzeni mogą istotnie zajść Rommla od tyłu*. Niemcy zdają sobie sprawę z rozmiaru przygotowań anglo-amerykańskich i w komunikatach swoich wspominają już o tych przygotowaniach. Siły alianckie rosną, szczególnie zaś lotnictwo. Lotnictwo armii pustyni nawiązało już pełne porozumienie i współdziałanie, jak zaznacza "*Sunday Times*" z dnia 21-go marca, z lotnictwem mającym swoje bazy w Algierze, Marokku, oraz w części Tunisu. *Sojusznicy zgromadzili*, jak stwierdzają pisma angielskie, *w tym teatrze wojny największe siły lotnicze, jakie oglądano po naszej stronie w tej wojnie*.

Ofensywa lotnicza poprzedzi zapewno wszelkie poważniejsze działania lądowe. Na razie działania te są "*manewrowaniem o uzyskanie stanowisk*," jak powiada prasa brytyjska. Wojska amerykańskie postępują nader ostrożnie, nauczone doświadczeniem poprzednich miesięcy, wojska generała Montgomery'ego starają się także o kruszenie przeciwnika przed podjęciem ataku.

Lotnictwo otworzy bitwę o Tunis tak, jak otworzyło bój o Egipt i Libię. Przeciwnik ma napewno znaczne rezerwy i nie będzie to takie łatwe usunąć go z pola. Niszczenie lotnisk zajmie sporo czasu, a jeszcze więcej przecięcie linii dowozu sprzętu Rommla i Arnima. Trzeba będzie uderzać nie tylko w bazy tunetańskie wroga, ale w Sycylię.

KU POROZUMIENIU FRANCUZÓW

Porozumienie generałów: de Gaulle'a oraz Giraud'a zdaje się przybliżać. Wskazuje na to zarówno mowa Giraud'a wygłoszona niedawno do przedstawicieli Alzacji i Lotaryngii, jak i starania o spotkanie Giraud —. de Gaulle. Zapewne niedługo dojdzie do tego spotkania, a zarówno pochwała z ust Churchilla pod adresem Giraud'a, jak i pobyt Edena w Waszyngtonie, przyczynią się do szybszego stworzenia porozumienia.

Jest ono koniecznością ze względu na położenie wojskowe i polityczne w Afryce oraz ze względu na stan umysłów w rdzennej Francji. Giraud bardzo słusznie wystąpił z hasłem scalenia Francji, od której oderwano *Alzację i Lotaryngię* — przeciw czemu t.zw. rząd Vichy /dzisiaj już widmo widma/ nie podniósł protestu. Pod znakiem krzyża lotaryńskiego walczą de Gaulliści, Giraud zatem czyniąc aluzję do tego skrawka Francji wybrał symbol wyjątkowo szczęśliwy.

Zjednoczenie Francuzów oczekiwane jest napewno z napięciem przez wszystkich Francuzów dobrej woli w Francji, *gdzie coraz częściej dochodzi do głosu sabotaż i bunt*. Jest to wynikiem coraz brutalniej naciskanej śruby wyzysku niemieckiego: polowania na siłę ludzką przybierają coraz ostrzejszy charakter. Jest rzeczą jasną, że Rzesza chce zabrać jak najwięcej wykwalifikowanych robotników francuskich oraz spore stawki młodzieży.

Jeżeli chodzi o tę ostatnią, to według doniesień prasy szwajcarskiej, pewne roczniki /1921-1923/ mają zostać powołane do służby pracy w Rzeszy, przyczem w powołaniu mowa jest o tym, że spore ilości powołanych znajdą się na służbie na Wschodzie. Podobno niektóre oddziały tych zaciężników, jak informuje prasa szwajcarska, użyte będą w służbie przyfrontowej, na obszarze *t.zw. Ostlandu*, inne pójdą na front.

Przeciwko takiemu postanowieniu wzburzyła się młodzież Sabaudii. Tysiące jej poszły w góry w okolice Chamonix i Mégèves. Nie wiemy, jakie są siły powstańców. Niektóre źródła mówią o 7,000, inne o 15,000. Wśród partyzantów znajduje się sporo *oficerów zawodowych* armii francuskiej, jak również księża, którzy uszli ze swoich parafii na skutek prześladowań niemieckich.

Szwajcarskie dzienniki uważają, że partyzanci są słabo uzbrojeni. Gwardia Vichy zajęła przesmyki górskie, ale pono nie ma ochoty na akcję przeciwko powstańcom. Włosi także nie okazują wiele chęci walki. Zapewne zatem skończy się na interwencji jednostek niemieckich.

Londyn, 21 marca 1943.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z tygodnia na tydzień

13 *marca: Ambasador R.P. w Czung-Kingu udekorował w imieniu Naczelnego Wodza orderem "Virtuti Militari" marszałka Czang-Kai-Szeka w dowód przyjaźni polsko-chińskiej i braterstwa broni między dwiema armiami.*

14 *marca: Przedstawiciele Brygady Karpackiej wręczyli w Kairze dary pamiątkowe 9. Dywizji Australijskiej. Brygada Karpacka biorąc udział w obronie Tobruku walczyła w ramach 9. Dywizji Australijskiej, z którą zadzierżgnęła węzły żołnierskiej przyjaźni.*

16 *marca: Prezydent R.P. odbył dłuższą rozmowę z Naczelnym Wodzem.*

17 *marca: Zmarł arcybiskup Westminsteru kardynał Hinsley, serdeczny przyjaciel Polski. Generał Sikorski przesłał w imieniu Polskich Sił Zbrojnych do Kapituły Metropolitalnej kondolencje, w których powiedział: "Postać pełna cnót i o wielkim poczuciu sprawiedliwości, wielki Książę naszego Kościoła i gorący patriota, kardynał Hinsley był najbardziej oddanym Polsce przyjacielem. Polacy na zawsze zachowają w pamięci wszystkie jego czyny szlachetnej sympatii, jaką stale i niezmiennie im okazywał."*

18 *marca: W Instytucie Brytyjskim w Bagdadzie otwarto wystawę plakatów i fotografii, wykonanych przez artystów żołnierzy polskich.*

20 *marca: Prasa londyńska doniosła, że w walkach powietrznych w Tunisie biorą udział polscy myśliwcy, świeżo przybyli z Anglii. Są to przeważnie "asy" polskich dywizjonów myśliwskich, mający na swoim koncie dziesiątki samolotów nieprzyjacielskich.*

—Polskie samoloty myśliwskie atakowały cele ziemne na terenach okupowanych.

W ciągu ub. tygodnia polski dywizjon bombowy w Dowództwie Obrony Wybrzeża patrolował morza i zwalczał żeglugę nieprzyjacielską.

DYWIZJON WSPÓŁPRACY wykonał szereg lotów bojowych w osłonie konwojów.

Wojna na morzu

TROCHĘ POLITYKI MORSKIEJ

Odpowiadając na zapytanie w Izbie Gmin, Pierwszy Lord Admiralicji zaznaczył, że współpraca między Wielką Brytanią i Stanami Zjednoczonymi, w kierunku zabezpieczenia komunikacji morskich, jest zupełna. Tym nie mniej ofensywa podwodna nieprzyjaciela przybrała ogromnie na sile i opanowanie jej wymagać będzie jeszcze długiego i obfitującego w ofiary czasu. "Dziękujmy Bogu, — powiedział Pierwszy Lord Admiralicji, — za Pierwszego Lorda Morza /Admirał Dudley-Pound/, bo przeprowadził nas przez sytuację, nie mającą precedensu w dziejach naszego kraju."

Rzeczywiście, w ostatnich czasach ataki na konwoje sprzymierzone wzrosły. Wzrosły również jednak straty okrętów podwodnych "osi." A wiadomo, że produkcja okrętów podwodnych to jeszcze nie wszystko. Trzeba także mieć załogi, a przede wszystkim dowódców.

Admiralicja podała też cyfry strat nieprzyjaciela, oparte na danych z komunikatów "osi." Niemcy przyznali się do straty 1 pancernika /Bismarck/, 1 krążownika pancernego /von Spee/, 4 krążowników, 39 kontrtorpedowców i 69 innych okrętów nawodnych. Włosi do 10 krążowników /w tym 6 ciężkich/, 48 kontrtorpedowców, 35 różnych. Japonia — dość mętnie — do 2 pancerników, 6 lotniskowców, 17 krążowników, 70 jednostek lekkich. Cyfry te nie obejmują okrętów podwodnych, których straty trzymane są w tajemnicy.

Natomiast Niemcy z wielkim hałasem trąbią o zatopieniu w pierwszej połowie marca 79 statków handlowych sprzymierzonych /pół miliona ton/ oraz nadto o uszkodzeniu pewnej ilości. Cyfry te oczywiście są kilkakrotnie przesadzone i zmierzają do podniesienia ducha.

OD TIRPITZA DO DOENITZA

Ostatnie zmiany personalne w marynarce niemieckiej nie są oczywiście dowodem jakiegoś daleko idącego rozkładu, mogącego wywołać rychłą klęskę. Tym nie mniej jednak, używając słów Shakespeare'a — "coś się psuje w królestwie" . . . morskim Rzeszy.

Dymisja Wielkiego Admirała Raedera — "odnowiciela" powersalskiej floty Niemiec i długoletniego jej naczelnego dowódcy — spowodowała szereg innych zmian personalnych. "Ludzie Raedera" odeszli, a na ich miejsce przyszli "ludzie Doenitza." Doenitz — rozpoczął urzędowanie od usunięcia dowódców, którzy bądź przewyższali go starszeństwem, bądź byli mu niewygodni.

Odszedł więc: admirał Boehm — znany nam dobrze z Bałtyku, a ostatnio dowódca floty wielkiego morza, bazowanej bezczynnie w Norwegii. Odszedł adm. Carls, wsławiony bombardowaniem Almerii w czasie hiszpańskiej wojny domowej, a ostatnio zdobyciem Norwegii. Odszedł adm. Cuse — dowódca sił bałtyckich, któremu nie udało się zdobyć Kronsztatu. Odszedł adm. Schuster — dowódca sił południowych /Morze Śródziemne i Czarne/, bo nie potrafił natchnąć floty włoskiej do akcji. /W roku 1942 zespół dwóch ciężkich krążowników i sześciu kontrtorpedowców włoskich wycofał się przed atakiem jednego lekkiego krążownika brytyjskiego i pięciu kontrtorpedowców, wśród których był nasz "Kujawiak"/. Odszedł też adm. Densch, dowodzący na Morzu Północnym, bo nie potrafił wygłodzić Anglii.

Na ich miejsce przyszli: generał-admirał Marschall — dziś zapewne dowódca floty wielkiego morza. Adm. Fricke — szef wydziału operacyjnego — na dowódcę "Południa," mającego podekscytować "wspaniałego sprzymierzeńca włoskiego." Adm. Ciliax dowódca zespołu "Scharnhorst," "Gneisenau" i "Prinz Eugen" w czasie ich przerwania się z Brestu na wody niemieckie, — objął dowództwo na wodach Norwegii. Wice-admirał Friedenburg zastąpił Doenitza w dowodzeniu flotyllami podwodnymi. Wice-admirał Kummetz miał objąć dowództwo na Dalekiej Północy, z zadaniem niedopuszczania konwojów do Rosji.

Zmiany te nie przysporzą jednak Hitlerowi ani jednego nowego okrętu, poza przewidzianymi programem Raedera. A co ważniejsze — nie zmienią ducha personelu, który w czasie grudniowego spotkania na Morzu Arktycznym nie wykazał już dawnego "furor teutonicus." Eskadra złożona z pancernika, krążownika i 6 kontrtorpedowców, wycofała się wówczas przed pięcioma kontrtorpedowcami brytyjskimi, o czym będzie mowa dalej.

Na okrętach podwodnych Rzeszy zarówno duch, jak i sprawność techniczna zaczynają widocznie upadać. Świadczy o tym wzrost ilości zatopionych korsarzy, branie jeńców spośród ich załóg /dawniej rzecz niemal wykluczona/, a nieraz nawet całych okrętów podwodnych z personelem. Stare załogi niemieckie są przetrzebione i zmęczone — nowe słabo wyszkolone i znacznie mniej chętne do walki. Jeśli prawdą jest, że Doenitz, by skompletować personel podwodny, sięgnął do załóg okrętów nawodnych, to historia uczy nas, że tego rodzaju posunięcie było w r. 1918 powodem buntu w cesarskiej "Hochseeflotte."

Charakterystyczne, że zarówno rewolucja rosyjska 1917 roku, jak i niemiecka 1918 roku, rozpoczęły się od buntów na okrętach. I że utrata panowania na morzu była bezpośrednio przyczyną klęski ogólnej. "Grossadmiral" Tirpitz nie potrafił zwyciężyć Anglii, mając do rozporządzenia, oprócz kilkuset okrętów podwodnych, całą cesarską "Hochseeflotte" /o sile dochodzącej do 3/5 flot brytyjskich/; dziś Doenitz, mając jednego "Tirpitza" /sic!/ i zaledwie kilka dziesiątek większych okrętów nawodnych — tym bardziej swymi korsarzami podwodnymi nic nie wskóra. Brak mu będzie bowiem poparcia owej "Hochseeflotte," której — jak wiemy już — lotnictwo zastąpić nie potrafiło.

Dlatego to "Bitwa o Anglię" miała miejsce w powietrzu, a nie na morzu i na lądzie . . . brytyjskim. I dlatego też "Bitwa o Atlantyk" wygrana zostanie przez tego z przeciwników, który panuje na morzach.

ZADANIA FLOTY NIEMIECKIEJ

Nie jest pewne czy "Gneisenau," remontowany dłuższy czas w Gdyni /!/, powrócił już do linii. W każdym jednak razie flota niemiecka, oparta o Norwegię w myśl starego planu admirała Wegenera — /1917-18/ próbować będzie:

1/ Atakować pospołu z okrętami podwodnymi konwoje Sprzymierzonych na Atlantyku i Morzu Arktycznym;

2/ Pospołu z tymiż okrętami podwodnymi uniemożliwić stworzenie drugiego frontu, przez zadanie Sprzymierzonym takich strat, które zahamowałyby wszelką większą operację desantową;

3/ Zmusić flotę brytyjską do interwencji w obronie zagrożonych komunikacji morskich i w ten sposób wciągnąć ją w pułapkę nastawioną przez "Luftwaffe" i okręty podwodne;

4/ Pobudzić do czynu flotę włoską dla ratowania Tunisu i przeszkodzenia operacjom sprzymierzonych w basenie śródziemnomorskim.

"Grossadmiral" Doenitz oświadczył ostatnio, że "marynarka niemiecka będzie walczyła do ostatka." — Znamienna zmiana tonu, bo przecież jeszcze nie tak dawno mówiło się, że zwycięstwo jest bliskie i pewne. Nie tak dawno też, kontrtorpedowiec brytyjski "Onslow," z kilkoma innymi, odparł atak całej eskadry niemieckiej na konwój zdążający do Rosji, co nie świadczy o nadto wysokim duchu w marynarce Hitlera. Może admirał Doenitz przypomni sobie, że inny kontrtorpedowiec "Onslow" brał udział w bitwie Jutlandzkiej /1916/ i że dowódcą owego "Onslow" był oficer nazwiskiem Tovey, który dziś piastuje stanowisko naczelnego dowódcy *Home Fleet*.

W BASENIE ŚRÓDZIEMNOMORSKIM

Flota włoska, straciwszy dużo ze swych sił lekkich i podwodnych, rozporządza jednak w tej chwili potężną eskadrą liniową, stanowiącą rdzeń sił ciężkich "osi" w Europie, 3 okręty liniowe zbombardowane 11 listopada 1940 roku przez lotnictwo brytyjskie, zostały już wyremontowane. Nadto weszły do linii 2 najnowsze nadpancerniki "Roma" i "Impero." Daje to w sumie 8 okrętów liniowych, z których 4 zupełnie nowoczesne.

Przeciwko tym siłom stoją dwie eskadry brytyjskie — zachodnia pod dowództwem adm. Cunninghama — i wschodnia pod dowództwem adm. Harwood'a — a także silna eskadra amerykańska. Dodać należy, że siły morskie Sprzymierzonych zachowały zupełną samodzielność taktyczną i operacyjną.

W chwili gdy piszemy te słowa w Tunisie rozpoczęły się wydarzenia, których los zależy głównie od panowania na morzu. Możemy być niedługo świadkami ostatecznej walki o "mare nostrum" Mussoliniego. Nie jest wykluczone, że pewna wyspa, na której urodził się Napoleon, odegra tu również dużą rolę, pospołu z bohaterską Maltą. Z tego wszystkiego zaś wypływa jasno prawda, którą autorytety admiralicji częstokroć powtarzały, a w którą niektórzy Polacy wciąż jeszcze uwierzyć nie chcą. Prawda ta brzmi jak następuje:

Na morzach ciasnych czy wewnętrznych — wojsko i marynarka są zależne jeszcze w większym stopniu niż na oceanicznych teatrach działań. Wojsko, bez poparcia marynarki skazane jest na bezsilność strategiczną, a często — jak w Polsce — na niepowodzenie; marynarka bez wojska — nie może zapewnić sobie bezpiecznych baz. Lotnictwo w tym wszystkim nic nie zmienia, bo obie strony muszą je posiadać i używać zarówno nad lądem i morzem.

Atak na bagnety, albo kilka salw z polówek, mogą dopomóc do przeprowadzenia konwoju morskiego na wodach wewnętrznych. A działania krążowników czy torpedowców do zniszczenia dywizji pancernej albo zdobycia twierdzy. Wszystko to oczywiście powiązane jest nie tylko w sensie operacyjnym, ale przede wszystkim *strategicznym*.

POLSKA MARYNARKA WOJENNA

—Musiało być zimno w tych konwojach do Rosji — zagadnął admirał Floty Dudley-Pound polskiego marynarza, dekorowanego za dzielne zachowanie się na O.R.P. "Garland."

—O nie, sir, — brzmiała odpowiedź. — Chwilami było nawet bardzo gorąco.

Ostatnie dekorowania orderami brytyjskimi marynarzy polskich, podniosły cyfrę tych odznaczeń do 40, w tem 10 "*Distinguished Service Order.*" /Cała polska Siła Zbrojna posiada tylko 14 "D.S.O.," z których, jak widać 77% przypada na marynarkę/.

Jako szlachetny rewanż — w uczczeniu bohaterskich czynów i współpracy Marynarki J. Kr. Mości — Pan Prezydent Rzeczypospolitej w obecności wice-admirała Świrskiego dekorował orderami polskimi szereg marynarzy brytyjskich, z Pierwszym Lordem Morza — adm. Dudley-Pound na czele.

A tymczasem dochodzą skąpe i nie zawsze możliwe do ujawnienia wieści z działalności naszych okrętów wojennych — raz na dalekiej Północy, drugi raz na śródziemnomorskim Południu, innym znów razem na Atlantyku. O działaniach tych w najbliższym czasie pomówimy bardziej szczegółowo.

JULIAN GINSBERT

Polska wizyta w Meksyku

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

Mexico, D.F. w styczniu 1943 r.

Było to dla nas radosną niespodzianką, kiedy w połowie grudnia ub. roku, dzienniki meksykańskie doniosły o zaproszeniu gen. Sikorskiego do Meksyku. Wiadomość o jego przyjeździe dodała nielicznej kolonii polskiej w Meksyku nowej nadziei i otuchy . . . Poprzednio nie spodziewaliśmy się ujrzeć Generała przed zakończeniem wojny, obecnie nie mogliśmy się doczekać dnia i godziny jego przybycia . . . Dzień ten jednak nadszedł. Dla piszącego te słowa, dzień 27-my grudnia, kojarzył z przylotem gen. Sikorskiego do Meksyku, dodatkowe wspomnienia z młodości — rocznicę Powstania Wielkopolskiego . . . Podobnie, jak wówczas, i dziś przeżywamy okres wojenny . . .

Mimo nieustalonej godziny przybycia samolotu, na lotnisku wojskowym Balbuena, już od południa zaczęła się zbierać ludność cywilna i wojskowi, ciekawi ujrzeć niecodziennego gościa z dalekiej Europy. Publiczność tworzy ciekawą mozaikę rasową i językową. Język polski krzyżuje się z hiszpańskim i angielskim, słyszy się też czeski, francuski, rosyjski, nawet serbo-chorwacki . . . Megafon portu lotniczego zapowiada samolot na godzinę 16-tą. Ludzi jednak nie ubywa, lecz przeciwnie — przybywa.

Przygrzewa słońce, czas zaś uprzyjemnia wesołymi melodiami polskimi i meksykańskimi, doskonała orkiestra wojskowa. Wśród zgromadzonych dyplomatów i wojskowych, powszechną uwagę budzi nieznanym mundurem — mjr. S. Dobrowolski, nowomianowany attaché polski w Meksyku. Spośród wyższych oficerów meksykańskich, ożywioną rozmowę prowadzą wiceminister Obrony Narodowej, gen. Francisco L. Urquizo z Szefem Sztabu Głównego, gen. T. Sanchez Hernandez. Pełno wszędzie dyrektora protokółu dyplomatycznego, lic. Armendariz del Castillo, kulturalnego i starej daty urzędnika. Niestety, nie daje żyć ciekawym dziennikarzom, przypominając im, aby Boże broń, nie zbliżali się zbytnio do "*el general polaco*" . . .

Nareszcie na niebie ukazuje się czarny punkt. Wzrasta napięcie obecnych. Warczący olbrzym mija już bokiem majestatycznie położone pasmo pobliskich wulkanów. Są to: Popocatepetl i Ixtaxihuatl, nieczynne od lat. Jedyne to wszakże wzniesienia, które śnieżnym pokryciem przypominają nam w tym na pół tropikalnym klimacie, o twardej zimie w Europie, a zwłaszcza w Polsce . . .

Jeszcze chwila a zgrabny, dwumotorowy "Douglas," oddany przez Prezydenta Roosevelta do dyspozycji gen. Sikorskiemu, dotyka ziemi azteckiej . . . Odzywają się natychmiast dźwięki hymnów narodowych meksykańskiego i polskiego. Nie jest już w mocy zagłuszyć tych dźwięków huk słabnących motorów. Ustawione w oddali, baterie artylerii meksykańskiej, witają tymczasem dostojnego gościa — salutem armatnim z 21 strzałów. Ogarnia nas zrozumiałe wzruszenie i radość . . . Meksyk, wierny swym pięknym tradycjom, oddaje honory Wodzowi Polski Walczącej! Czyni to podobnie, jak niedawno, podczas powitania Prezydenta niepodległej Republiki Ekwadorskiej. Przez cały czas wizyty stosowano ceremoniał przewidziany dla głów państw obcych.

Następuje chwila niezapomniana. Honorowy batalion meksykański prezentuje broń przed wysiadającym z samolotu — Premierem Rządu Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie. Jest to pierwsza oficjalna wizyta polska w historii naszych trzynastoletnich stosunków dyplomatycznych z Państwem Orła i Węża. Pierwszy wita gen. Sikorskiego, Min. Esequiel Padilla, Kanclerz i minister spraw zagranicznych a zarazem osobisty przedstawiciel Prezydenta Republiki; przedstawia go polskiemu mężowi stanu Poseł R.P. Dr. Marchlewski. Po protokólarnym przeglądzie wojskowym, gościa polskiego witają z kolei przedstawiciele Armii Meksykańskiej oraz szefowie misyj dyplomatycznych i wojskowych krajów, akredytowanych w Meksyku.

Na koniec gen. Sikorski zbliża się do dworca lotniczego, przy którego wejściu oczekują delegacje kolonii polskiej, ustawione w szpalerze. Każda z grup wręcza mu kwiaty o barwach narodowych. Widoczne wzruszenie ogarnia jednak Generała w chwili gdy dwoje dzieci, ubranych w stroje krakowskie podaje kwieciste naręcze. Całuje je po ojcowsku w czoła. Szkoda, że nie rozumieją języka polskiego . . . Witają go serdecznym uśmiechem a potem płaczem, podobnie jak ich wzruszeni rodzice, którzy całują Generała w ręce.

Swą otwartością i pogodnym duchem słowiańskim, które nas tak bardzo zbliżają do narodów łacińsko-amerykańskich, zdobył sobie gen. Sikorski serce Meksyku prawie natychmiast. Odbiło się to bardzo korzystnie zwłaszcza na życzliwym ustosunkowaniu się doń prasy meksykańskiej. Już w kilka godzin po przyjeździe, z właściwą mu powagą, dzielił się z nią wiadomościami na temat sytuacji Polski, odpowiadając również na zapytania odnośnie stosunków międzynarodowych, spowodowanych obecną wojną. Jasne i mocne słowa Premiera wywarły na przedstawicielach prasy większe wrażenie, niż stereotypowe komunikaty agencyjne. Zwierzali mi się z tym otwarcie moi koledzy zarówno meksykańscy, jak i amerykańscy, nie mogąc zrozumieć, dlaczego nie posiadamy dotychczas w Meksyku polskiej placówki informacyjnej . . .

Tak czy inaczej, jest niezaprzeczonym faktem, że dzięki trzydniowej wizycie gen. Sikorskiego — Sprawa Polska znalazła w Państwie Azteków znacznie więcej oddźwięku i serdecznego zrozumienia, aniżeli w czasie pełnej kampanii niemiecko-polskiej. Życzliwy stosunek Generała do prasy, przekreślił jednocześnie niesmaczne wrażenie, jakie wywołał zakaz władz miejscowych zbliżania się doń, co ogólnie przypisywano życzeniu naszych urzędników dyplomatycznych . . .

Gen. Sikorski jest jednym z nielicznych szefów państwowych, którzy złożyli Meksykowi wizytę oficjalną w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat i chyba pierwszym przedstawicielem Europy w Meksyku. W każdym razie, należy do rzadkich mężów stanu, którzy doceniają polityczne znaczenie tego kraju, zwłaszcza w obecnej chwili. Względy te zaważyły niewątpliwie dodatnio na charakterze podejmowania go przez Prezydenta Manuela Avila Camacho oraz Rząd Meksykański.

Meksyk oficjalny i cywilny widział w nim jednak przede wszystkim — symbol nieugiętego ducha Narodu Polskiego, co zgodnie podkreślano we wszystkich przemówieniach powitalnych i w prasie. Miało to bezsprzeczną wagę dla samej sprawy w tym właśnie Meksyku, który jest bramą wypadową dla całej Ameryki Łacińskiej . . . Wszystkie nieomal przemówienia, wygłoszone podczas wizyty Premiera w tym kraju, nacechowane były dużą otwartością i sympatią dla Polski. Można się o tym przekonać z kilku wyjątków, które uważam za obowiązek tu przytoczyć:

"*Meksyk, który związał swój los ze sprawą Narodów Sprzymierzonych, rozumie cierpienia Polski, lecz jest przekonany, że tyrania, którą Polska cierpi, stanie się jednym z czynników, które zadecydują o końcowej porażce najeźdźców.*

"*Waleczne wojska polskie nie mogły przed najbardziej nieubłaganą, potęgą zmechanizowaną — dokonać nic innego, jak tylko zapisać swą kartę czynami, godnymi upamiętnienia, które, jak w obronie Warszawy, dosięgły wyżyn epopei.*

"*Proszę Pana, aby przekazał Narodowi Polskiemu wyrazy uczucia i podziwu, które za moim pośrednictwem składa mu Naród Meksykański.*"

W ten oto prosty, lecz jakże wymowny sposób wyraził swe uznanie dla Polski Walczącej i Cierpiącej, Prezydent Manuel Avila Camacho, w czasie oficjalnej wizyty, jaką gen. Sikorski złożył mu dn. 28 grudnia 1942 roku, w Palacio Nacional.

"*Niemcom nie udało się stworzyć w Polsce rządu marionetkowego, ponieważ nie znaleźli tam Quislinga, bo Polska jest gniazdem orłów a nie jaskinią zdrajców. Miasto Meksyk otwiera ramiona duchowi Polski, uosobionego w Panu, duchowi, którego nic i nikt nie będzie mógł pokonać.*"

Oto słowa, która padły z ust młodego mówcy, Karola Madrazo, w czasie powitania Premiera w Pałacu Municypalnym, gdzie regent stolicy, lic. Rojo Gomez, ogłosił naszego rodaka gościem honorowym Meksyku.

"*Podobnie jak On, jesteśmy pewni zwycięstwa Narodów Sprzymierzonych nad siłami, które usiłują zniszczyć wolność i zaprowadzić na świecie rządy, oparte na samowoli, hańbie i gwałcie. Kiedy nadejdzie ten dzień, Narody Zjednoczone przypomną sobie cenny wkład Polski dla wspólnej Sprawy, a i Polska nie będzie mogła zapomnieć, co winna Waszej Ekscelencji.*"

Znamienne te wynurzenia pochodzą od światłego polityka, min. S.Z. lic. Esequiel Padilla, jedynego członka Rządu Meksykańskiego, który w czasie swej dawniejszej pracy dyplomatycznej w Europie, odwiedził również Polskę.

Do tych śmiałych głosów Meksyku oficjalnego, przyłączyła się również opinia publiczna. Znalazło to swój szczególny wyraz w powodzi artykułów prasy meksykańskiej, bez względu na jej zapatrywania polityczne i społeczne. Cytujemy tu tytuły niektórych artykułów, będących niejako barometrem uczuć narodu meksykańskiego wobec Polski Walczącej i Cierpiącej. EL NACIONAL: "Meksyk złożył hołd Polsce w osobie gen. Wł. Sikorskiego," NOVEDADES: "Orły polskie nigdy nie obniżą swego lotu," EXCELSIOR: "Polska nie miała ani jednego zdrajcy," EL UNIVERSAL: "Polska odrodzi się na nowo," ULTIMAS NOTICIAS: "Meksyk otworzył ramiona Polsce" i t.d. Spośród magazynów natomiast obszerne omówienia o Wojsku Polskim, pióra dziennikarzy polskich, dały revisty o wielkim nakładzie "Todo" i "Armas."

Celem upamiętnienia wizyty gen. Sikorskiego oraz podkreślenia jej wielkiej roli, staraniem władz meksykańskich zorganizowana została specjalna transmisja radiowa przemówień szefów nawy politycznej Polski i Meksyku, na wszystkie kraje Nowego Świata. Z naszego punktu widzenia miało to szczególne znaczenie dla Ameryki Łacińskiej, która w odróżnieniu do Ameryki anglo-saskiej, orientuje się naogół słabiej w roli Polski w Europie oraz w jej wkładzie w czasie Drugiej Wojny Światowej. Przemówienia te były też silnym uderzeniem w propagandę niemiecką na tym terenie. Zostały w języku hiszpańskim i polskim, za pośrednictwem rządowej stacji XEW, należącej do systemu radiowego sieci pan-amerykańskiej. Poniżej, podajemy najbardziej charakterystyczne wyjątki.

Minister Ezequiel Padilla:

"*W obecnej wojnie, my — Narody Sprzymierzone, jesteśmy dłużnikami Polski, ponieważ jej bohaterskie przeciwstawienie się najeźdźcy, pozwoliło na późniejszą organizację wojennego wysiłku Demokracyj i zostawiło naukę, jakiej żaden naród nie powinien pominąć milczeniem bez narażania się na pośmiewisko. Dlatego, jednym z najświętszych zobowiązań Narodów Sprzymierzonych jest odbudowa Polski, zapewnienie jej integralności terytorialnej i pełnej niepodległości. Do tego przyłącza się gorliwie dusza meksykańska.*"

Premier Władysław Sikorski:

"*Polska posiada specjalną rolę w tym gigantycznym konflikcie o lepszą przyszłość ludzkości, konflikcie, któremu ze strony demokracyj przewodzą Franklin D. Roosevelt i Winston Churchill. Rola Polski jest wyjątkowa, nie tylko dlatego, że mój naród kontynuuje walkę i trwa jako strażnik wolności w tej wojnie, chociaż naraził się na najbardziej brutalne prześladowanie ze strony wroga, lecz także i dlatego, iż przez to Polska stała się symbolem nieubłaganej walki o wolność.*

"*W obecnej wojnie, której głównym celem są nie granice takich albo innych krajów, lecz w której idea wolności przeciwstawia się totalitaryzmowi a sprawiedliwa demokracja barbarzyństwu dyktatur — Meksyk musiał i faktycznie przyłączył się do nas, aby kontynuować szlachetne tradycje swej historii.*"

Meksyk widział w osobie gen. Sikorskiego nie tylko polityka, ale i przede wszystkim znakomitego żołnierza. Dano temu wyraz przez urządzenie dlań pięknej rewii wojskowej, która zademonstrowała stan pogotowia oraz nowoczesny ekwipunek Armii Meksykańskiej. Przed Pierwszym Żołnierzem Rzeczypospolitej przewinęły się więc formacje trzech rodzajów broni, wykazując w akcji należyty stopień swego przeszkolenia. Był to równocześnie pierwszy pokaz zmotoryzowanego wojska meksykańskiego przed zagranicznym autorytetem militarnym.

Pochlebna opinia gen. Sikorskiego o postawie żołnierza meksykańskiego, znalazła szczególny oddźwięk w tutejszych kołach wojskowych, które wysoko ceniły sobie uznanie fachowca. Generalicja meksykańska, dumna z pochwały, która ją spotkała, oraz dając wyraz uznaniu dla bohaterstwa Narodu i Wojska Polskiego, ofiarowała gen. Sikorskiemu bezpośrednio przed jego odjazdem, złotem inkrustowaną szablę oficera meksykańskiego. Wzruszony Generał, dziękując za dar przedstawicielowi Ministerstwa Obrony Narodowej, gen. Sanchez Hernandez, wypowiedział te proste słowa: "Proszę podziękować w moim imieniu za podarunek gen. Cardenasowi i zapewnić go, że ta szpada w moich rękach, służyć będzie zawsze w obronie wolności ludzkiej."

Jednym z celów meksykańskiej wizyty gen. Sikorskiego, było uzyskanie azylu dla pewnej ilości polskich uchodźców wojennych, którzy po wyewakuowaniu z Sowietów, oczekują przeniesienia do kraju o łagodniejszym klimacie. Bezpośrednie pertraktacje Rządu Polskiego z poselstwami meksykańskimi w Londynie i Waszyngtonie, zostały w Meksyku pomyślnie zakończone. Na mocy układu, zawartego dn. 30 grudnia 1942 r. Rząd Meksykański zgodził się na przyjęcie uchodźców polskich, znajdujących się już w Iranie, aby przetrwali tutaj okres wojenny. Zarówno transport, jak i opiekę, zapewnia im Rząd gen. Sikorskiego. Spodziewane jest przybycie do Meksyku około 5,000 osób, głównie kobiet i dzieci.

Podczas oficjalnej wizyty w tym katolickim kraju gen. Sikorski odwiedził starożytną Katedrę Metropolitalną oraz cudowną Bazylikę Najśw. Marii Panny z Gualalupy, Patronki Meksyku i Ameryki Łacińskiej. Fakt ten wywołał w społeczeństwie oraz prasie meksykańskiej, korzystne wrażenie. Zapytywany przez dziennikarzy, gen. Sikorski oświadczył skromnie, że modlił się za dusze Polaków, poległych i walczących.

Krótki a obfity program wizyty, nie przeszkodził gen. Sikorskiemu na prywatne przyjęcie przedstawicieli kolonii polskiej i żydowskiej, jak i delegatów zagranicznej kolonii alianckiej. Generał znalazł dla każdego dobre słowo i zachętę. Pod adresem obywateli polskich, zwrócił się natomiast ze szczególnym apelem o zgodną współpracę dla dobra Ojczyzny. Jedną z ostatnich delegacyj, była grupa pań, która wręczyła Premierowi czek na 1,000 dolarów — jako rezultat jednodniowej zbiórki publicznej, na pomoc dla Polaków w ZSRR. Była to samorzutna akcja 6-ciu naszych patriotek, którym dzielnie sekundowali polscy wydawcy alianckiego pisma "Epoca." Czek doręczyła wielce szanowana emigrantka polska, p. Helena Wolińska, której bracia walczą w szeregach polskich na ziemi brytyjskiej.

O ile całość wizyty Premiera Sikorskiego, jeśli chodzi o stronę meksykańską, wypadła wspaniale, dość zagadkowo zachowała się jedynie kolonia czeska i francuska. Złożyły one wprawdzie wraz z innymi, kurtuazyjne wizyty Generałowi, za to prasa ich ani słowem nie wspomniała o Polsce z tej pamiętnej okazji. Nie mogliśmy naturalnie mieć pretensji, że w tym samym czasie "Wolna Francja" zorganizowała wystawę propagandową na cześć swego przewódcy gen. De Gaulle, podobnie, jak Komitet Międzyaliancki analogiczną, na cześć sowieckiego marszałka Timoszenki. A przecież wypadało choćby z grzeczności, jeśli nie ze serca, nie pomijać naszego imienia . . .

Przeciwnie, po aliancku i dżentelmeńsku, spisała się akcja brytyjska w Meksyku. Przybyły tu niedawno attaché wojsk. kpt. Norman B. Wright, wygłosił mianowicie w tym czasie, sympatyczną pogadankę na temat udziału Polski w tej wojnie, i to na posiedzeniu kolonii anglo-amerykańskiej.

Wizytę generała Sikorskiego w Meksyku, uważać należy za niezwykle udaną a zarazem wielce pożyteczną dla Sprawy Polskiej. Poza osobistym zetknięciem się Premiera z wybitnymi mężami stanu Meksyku, dała ona bowiem sposobność do spopularyzowania naszych zagadnień w kraju Juareza, który wysoko trzyma sztandar wolności. Do niedawna mieliśmy tu najgorszą reputację polityczną, jaką nam wyrobiła wroga propaganda totalitarna. Akcji tej, zupełnie nie przeciwdziałała nasza misja dyplomatyczna, która podobnie jak jej zwierzchnicy warszawscy, zaślepiona była przesadnym wyobrażeniem własnej . . . wielkości, względnie intrygami zaściankowymi. Dokonana w międzyczasie zmiana, może sytuację naprawić.

Dobrze się stało, że omawianie spraw meksykańskich na łamach prasy polsko-amerykańskiej a zwłaszcza w "Polsce Walczącej," zwróciło tak życzliwą uwagę naszych czynników oficjalnych w Londynie. Potwierdziła to zresztą meksykańska wizyta Premiera, który przekonał się o wielkich możliwościach i szlachetnym sercu tego narodu.

EDMUND STEFAN URBAŃSKI

Generał Sikorski dokonuje przeglądu wojsk Meksyku



Przedwiośnie mata Kotuły

Przedwiośnie 1940 roku — pierwsze przedwiośnie wojny — niosło ze sobą zapowiedź przemian. Powietrze pełne było radosnych nadziei i wytęsknień. W mesie, w pomieszczeniach podoficerów i marynarzy, gorąco dyskutowano możliwości ofensywy i związanego z nią rozgromienia Niemiec. Koniec wojny, powrót do Polski — były już tylko kwestią miesięcy, jeśli nie tygodni. Byle się tylko zaczęło . . .

Wojenne komunikaty Francuskiej Kwatery Głównej z niezachwianym spokojem donosiły o aktywności patroli na przedpolu Linii Maginot. Przybrzeżne wody pełne były min magnetycznych, ale morza pełne były neutralnych statków, wożących w obie strony — tym i tamtym — kontrabandę . . . Nocami świeciły z daleka napisy: "Holland," "Norge," "Italia" . . . Po mieliznach Morza Północnego kręciły się dziesiątki małych rybackich kutrów o mniej lub więcej podejrzanym wyglądzie.

Raz po raz trzeba było wysyłać łódź z oficerem i kilkoma marynarzami dla skontrolowania jakości ładunku i portu przeznaczenia. Na kanałowych mieliznach między Harwich a ujściem Tamizy, dziesiątki min czyhały na łup. Dziesiątki statków, wyrzuconych na piasek oczekiwały na jakiś olbrzymi przypływ, który by je zabrał na morze . . .

Życie na okręcie płynęło raczej jednostajnie. Patrol, cztero-godzinne pogotowie, wypad do kina i znowu patrol — i . . . Nr. 4582 komunikat Głównej Kwatery: "Na przedpolu Linii Maginot zanotowano aktywność patroli" . . . Ale serca biły szybciej, wyobraźnia pracowała intensywniej, rozum szukał argumentów gruntowniej. O, wiosno czterdziestego roku! Kto ciebie widział we francuskim kraju . . .

Rozkaz odkotwiczenia przyszedł nagle. Cały polski dywizjon: "Grom," "Błyskawica," "Burza." Choć nie było przedtem żadnych plotek gdzie i na jak długo — wszyscy czuli, że nie idzie się na zwykły patrol. A kiedy po przejściu wyjściowego kanału wzięto kurs na północ, widoczne się stało, że święci się jakaś poważniejsza wyprawa . . .

Wiosenne nastroje całkowicie owładnęły sercem Kotuły. Wychodząc na wachtę do dalmierza nucił sobie tylko znaną melodię — jakąś mieszaninę kujawiaka z walcem.

Okręty w szyku torowym posuwały się niewidocznym kanałem między lądem a polem minowym. Od czasu do czasu kontrakursem mijano trawlery i torpedowce. Brytyjskim zwyczajem powiewano z pomostów czapkami, przesyłano pozdrowienia, wymieniano jakieś krótkie sygnały.

Przy spotykaniu okrętów na morzu ogarniała zawsze Kotułę pewnego rodzaju rzewność, połączona z ciekawością. "Skąd, dokąd i jak ci się płynie, Żeglarzu" — pytał wtedy w myśli. "Niech ci się szczęści" . . . "Good Luck" — posyłał płynące z serca pozdrowienia.

Kontrtorpedowiec Kotuły płynął zaś ku nieznanemu nie tylko Kotule, ale nawet i dowódcy, celowi, czy do jakichś nieznanych jeszcze portów, czy na jakąś wojenną wyprawę . . . Wszystko jedno — przedwiośnie pachniało przygodą . . .

Zakotwiczono na redzie X. Jak zwykle — najpierw uzupełniono zapasy paliwa i wody, wysłano sygnał po prowiant. Czterogodzinne pogotowie dla maszyn. Prawdopodobnie noc będzie spokojna i odeśpi się przejście.

Nazajutrz, w niedzielę, ledwie ubrano się na pomieszczeniu rufowym na nabożeństwo, na którym obowiązki kapelana spełniał zastępca dowódcy — przyszedł rozkaz natychmiastowej gotowości. Zaczęto rozpalać kotły i robić "przygotowanie do boju." Prawie równocześnie z tym rozkazem przyszedł sztorm — taki na 8-10.

Kotuła przeglądając dalmierz na "przygotowanie do boju," przepatrywał z lekka okolicę. W dużym fiordzie, jednym z największych w Szkocji, dymiło kilkanaście okrętów wojennych, gotując się do wyjścia. Krążowniki ciężkie, lekkie, kontrtorpedowce . . . W sercu Kotuły krzepła jakaś duma, że i jego okręt, polski okręt, jest częścią tej wspaniałej floty. Duma ta w połączeniu z nadzieją czegoś, co się dziać zacznie, co się stać musi — wytworzyła nastrój jakiejś chęci walki, poświęcenia i szlachetnego entuzjazmu. Zmalały mu jakoś osobiste zmartwienia, przykrości i kłopoty.

Dzisiaj rano przy sprzątaniu okrętu bosman okrętowy zwrócił Kotule w przykry sposób uwagę. Kotuła coś odburknął . . . Bosman rozsierdził się na dobre. Będzie raport. Byłby dzisiaj w południe, ale dzisiaj niedziela. Będzie pewnie jutro . . . Jak wyjdziemy wieczorem — to może się jakoś upiecze — pomyślał Kotuła. Choć czy w taki sztorm wyjdziemy . . .

Popatrzał przez dalmierz na brzeg. Na wzgórzach porosłych krzakami pusto i jakoś bez życia, zimno i wietrzno. A fiord dymił, falował, pulsował.

Kotuła wszedł na pomieszczenie podoficerów. Tam, jak zwykle, mat Skowron, działonowy 1-go działa klął angielsko-polską gwarą na sztorm, na natychmiastowe pogotowie, na "zmarnowaną" niedzielę. Klął zresztą dla smaku, dla samego siebie, jakby z potrzeby ulżenia sobie.

Grupka polityków z bosmanmatem Rowińskim zawzięcie kłóciła się o termin zakończenia wojny.

—"Zobaczycie, że idziemy na Bałtyk zająć Gdynię" — perorował Rowiński.

—"Zobaczymy, zobaczymy" — cedzili oponenci, na pół jednak przekonani argumentacją, bo tak łatwo uwierzyć w to, czego się chce, aby się spełniło . . .

Kotuła wgramolił się na swoją koję i rozkoszując się ciepłem pomieszczenia, przyglądał się przez iluminator starganym grzebieniom białych grzywaczy. W głowie miał jeszcze ranną awanturę z bosmanem, przed oczyma redę pełną okrętów, a w uszach wywody strategiczne kolegów. Wszystko to zaczęło mu się splatać w jakąś niezrozumiałą całość, w jakiś film bez początku i końca, film, który przesuwał mu się w rytm ulubionej, jemu tylko znanej, melodii kujawiaka i walca. Grzywacze skakały coraz wolniej, ciepło przenikało coraz głębiej, sprzeczka z bosmanem stała się tak mało ważna, raport w takiej nieskończoności, a Gdynia tak blisko . . . melodia taka swojska . . . Zasnął.

Kiedy do świadomości Kotuły dotarły dźwięki klaksonu na odkotwiczenie, było już ciemno. Wybiegł pośpiesznie na pomost, gdzie miał przydział w alarmie manewrowym, jako przekaźniczy rozkazów z pomostu na rufę.

Oficerowie na pomoście byli ubrani sztormowo. Miny mieli poważne.

Naprawdę coś się święci — pomyślał Kotuła i poczuł gdzieś na dnie serca lekkie drżenie — coś jakby cień przesłoniło to dobre samopoczucie rannej krzepy. Idziemy na wojnę . . . Ano, w Imię Boże.

Ranek zastał flotę na pełnym morzu.

Kotuła nie mógł oczu oderwać od dalmierza. Liczył, mylił się, zaczynał od początku, wreszcie skończył . . . 42 wojenne okręty, w tym 3 polskie, 3 francuskie. Dywizjon polskich kontrtorpedowców szedł w szyku osłony, na lewo w skos od admiralskiego pancernika.

Pogoda trochę się poprawiła, sztorm zelżał, ale morze jeszcze było 5-6. Od czasu do czasu dziewiąta fala trzasnęła o dziób, przewaliła się przez śródokręcie, rozbryzgując się o rufową nadbudówkę. Kontrtorpedowiec jak gdyby jęczał wtedy głucho i chylił się na chwil kilka ku morzu.

Pancernik, pomalowany w pasy, szedł równo, majestatycznie, podobny do jakiegoś przedpotopowego potwora, który opuścił na chwilę tylko głębię oceanu.

Pomost admiralskiego okrętu zakwitał raz po raz różnokolorowymi flagami. Przesyłano rozkazy, zmieniano szyki, poprawiano odstępy i odległości między okrętami. Przyjęto uformowanie bojowe. Szykowano się na spotkanie nieprzyjaciela.

Nieprzyjaciel ukazał się nagle, ale z góry. Kotuła usłyszał, jak sygnalista zameldował dowódcy: "Alarm przeciwlotniczy" i zarepetował sygnał flagą. W chwilę potem kontrtorpedowce, idące w przodzie, zaczęły strzelać. Francuski krążownik, idący z tyłu za polskim dywizjonem, zaczął też wtórować angielskim okrętom.

—"Kotuła — odległość do samolotu" — krzyknął oficer artylerii.

—"20,000, 19,800, 20,000" — meldował przekaźniczy lekko drżącym głosem.

Niebo pokrywało się chmurkami rozprysków pękających pocisków. Samolot zawrócił.

—"Za daleko" — mruknął pierwszy kanonier, zły, że nie oddał ani jednego strzału.

—"Zobaczycie, że za godzinę będzie tu cała Luftwaffe," — zawyrokował oficer sygnałowy, zawodowy pesymista.

Nie było czasu na roztrząsanie tematu, bo właśnie przyniesiono z radiostacji na pomost sygnał, rozkazujący polskiemu dywizjonowi odłączyć od gros sił, i z jednym kontrtorpedowcem angielskim udać się do jakiegoś tam fiordu na spotkanie konwoju.

Okręty wykonują zwrot, zwiększają szybkość. Kontrtorpedowiec angielski, oblepiony sygnałami, wysuwa się na czoło. Polski dywizjon przechodzi przez całą szerokość szyku. Kurs na północ.

Świeży wiatr dmie teraz prosto w oczy — nasi marynarze nazywają to mało wytwornie "wmordewind."

Daleko, prawie że na horyzoncie kołują dwa samoloty. Kotule trochę żal, że odchodzi od floty, ale pociesza się, że zobaczy Norwegię, fiordy, może noce polarne.

Z północnym wiatrem przyleciał zapach przygody . . .

Norwegia ukazała się nagle. Tak jakoś z morza i chmur wysunęła się biała ściana ośnieżonych gór. Podchodząc bliżej, można było zauważyć golizny skał i wąskie pasemka potoków. Żadnych miast czy wsi. Wyglądała ta Norwegia może i ładnie, może i groźnie, ale dziwnie pusto i smutnie — bezludnie.

Po wachcie Kotuła wrócił na pomieszczenie. Politycy znowu dyskutowali nad sytuacją. Przed chwilą polski dziennik radiowy z Tuluzy przyniósł wiadomość, że Niemcy zajmują Norwegię; "Orzeł" zatopił transportowiec "Rio de Janeiro" z niemieckim wojskiem.

"Flota Jego Królewskiej Mości wyszła na morze. Przy jej boku znajdują się dywizjon francuski i polski" — brzmiało oświadczenie ambasadora angielskiego w parlamencie francuskim, zacytowane przez polskiego speakera.

Entuzjazm ogólny. Nareszcie się coś zaczęło dziać. Idziemy przepędzić Niemców z Norwegii, później na Bałtyk — do Gdyni . . . Kotuła nie wiedział, czy nucić swojego kujawiaka, czy krzyczeć głośno: Hurra, czy robić porządek z rzeczami, bo na urlop do domu już tak blisko . . . O kłopotach z bosmanem zapomniał już zupełnie. Pod powiekami czuł lekką wilgoć, ale w sercu prawdziwą wiosnę.

Wyszedł na pokład. Północny wiatr niósł mu teraz nie posmak przygody, ale urok i czar rodzinnych stron.

BOHDAN WROŃSKI

Od północy do świtu

Radio w mesie trzeszczało dziś, że nie można było słuchać, kucharz przypalił zupę z puszki, a *corned-beef* z groszkiem konserwowym był zupełnie niejadalny, mimo iż zaprawiłem go prawie całym słoikiem najostrzejszych pikli. Karol bez wielkiego entuzjazmu już od godziny układał jakiś *jig-saw-puzzle*, w pomieszczeniu załogi Deanna Durbin wyciągała trele na pękniętej płycie gramofonowej, wspomagana nieco fałszywym gwizdem jakiegoś wielbiciela muzyki i jej talentu.

Podciągnąłem kolana pod brodę i obojętnie patrzyłem na wolno obracający się wentylatorek elektryczny.

— Ciemno?—spytał Karol, myszkując po stole za jakimś kawałkiem układanki.

— Jak cholera—odburknąłem. —Wódz zły i ciągle siedzi na górze—dodałem.

Sięgnąłem nad głowę po książkę, przeczytałem parę kartek. Była wyjątkowo nudna. Co mnie obchodzą kłopoty materialno-matrymonialne zakochanego rybaka z północnej Szkocji? Tubalny głos bosmana okrętowego, pomstującego w soczystych słowach na niesolidność dyżurnego marynarza w sprzątaniu pomieszczeń, nastroił mnie nieco radośniej do życia.

Karol ułożył ostatni kawałek *puzzle'a* i z dumą spoglądał na obrazek, przedstawiający angielski pejzażyk o zachodzie słońca. Okręt podskakiwał i taczał się na fali, jak pusta beczka po nierównym bruku, co w połączeniu z monotonnym stukiem Diesli i szumem wentylacji baterii, podziałało na mnie usypiająco. Zapadłem w półdrzemkę.

Wybiły mnie ze snu aż trzy rzeczy tak niespodziewanie, że zerwałem się na równe nogi, o ile ciasnota mesy na to pozwalała: Karol złapał przez radio jakąś strasznie krzykliwą rumbę, śruby musiały wyskoczyć z wody, bo Diesle zahuczały, jak ruszająca lokomotywa a równocześnie rozległ mi się tuż nad uchem głos naszego łącznikowego:

— *Have a "piwko" with me*!

Wyciągnąłem butelkę ze skrzynki pod stołem. Karol ubierał się na wachtę na pomost. Za pięć druga. Poszedł na górę. Za chwilę zszedł do mesy klnący i ociekający wodą Zygmunt.

— Zalewa jak cholera, ciemno i w ogóle niech to diabli! . . .

Dyskutowałem zapalczywie z łącznikowym na temat twórczości muzycznej poszczególnych narodów świata i wreszcie zgodziliśmy się na jedno, że najbardziej spopularyzowany został w tej dziedzinie talent rasy czarnej, co potwierdzają niezbicie różne *swing'i, jazz'y* i *black-bottom'y*.

Zygmunt otworzył "Potop," popatrzył na nas szklanymi oczyma i zagłębił się w czytaniu. Temat dyskusji wyczerpał się, w milczeniu ciągnęliśmy ze szklanek złotawą ciecz.

— Gdzieś w pobliżu meldowano konwój nieprzyjacielski—powiedział łącznikowy.

— Tak, widziałem sygnał—mruknąłem.

Pochyliłem się pod stół po nową butelkę piwa.

— Uwaga na aparatach!—padło podekscytowanym głosem powtórzenie rozkazu.

Wyrżnąłem głową o kant stołu, kopnąłem łącznikowego w kostkę i jednym susem wpadłem do torpedowego.

— Gotowe, panie poruczniku!—usłyszałem od wachtowego torpedysty.

— Kolejność dwa, trzy, jeden, cztery!—obwieściła mi tuba głosowa.

— Kolejność dwa, trzy, jeden, cztery!—powtórzyłem.

Na okręcie martwa cisza. Diesle zatrzymane, idą motory elektryczne, wszyscy ludzie skamienieli w oczekiwaniu rozkazu "pal." . . .

Tuż obok burty dwa wybuchy! . . . Krótkie, nerwowe chrapnięcie klaksonu, podłoga okrętu pochyliła się lekko w przód, jeszcze dwa czy trzy wybuchy i cisza. . . Zanurzenie. . .

W centrali dowódca nad podsłuchowcem:

— Słyszę, panie kapitanie, zwolnił szybkość, szuka nas. . . . Namiar zielony sto siedem . . . —melduje lekko blady chłopak ze słuchawkami na uszach.—Namiar sto dziewięć . . .

— Zielony piętnaście, drugi kontrtorpedowiec . . . Słyszy nas, przechodzi do ataku!

— Ster lewo na burt—brzmi spokojny głos dowódcy — nie chodzić po okręcie!

Karol przy sternikach głębokości półgłosem mówi mi, że eskorta konwoju ostrzelała nas pociskami oświetlającymi, zanim doszliśmy na pozycję ataku.

— Zwiększa szybkość, namiar zielony sto siedemdziesiąt pięć, odległość czterysta—raportuje podsłuch.

— Zanurzenie sto, ster lewo na burt!

— Rzucił bomby — mówi podsłuchowiec i dziwnie wolno zdejmuje słuchawki . . .

— Włączyć światła awaryjne —odzywa się, nie wiem dlaczego, skandując każdą sylabę Karol.

—Oba motory cała nap — . . .

Nie zdaję sobie sprawy, czy to jest właściwie huk czy wstrząs. Słychać na pewno wibrujący brzęk tłukącego się szkła, jakiś niesamowicie potężny potrójny pogłos, gaśnie większość świateł. . . .

Druga . . . trzecia . . . piąta. . . .

Idiotycznie stwierdzam w duchu, że jeszcze żyjemy. Podsłuchowiec założył słuchawki.

—Drugi atakuje!—zameldował.

Za chwilę znowu seria. . . .

—Mniej celna—mówię na głos.

Karol popatrzył na mnie i głupkowato się uśmiechnął. Wyniosłem się do mesy. Trzecia seria zrzuciła mi na głowę żyrandol z nad naszego stołu. Musiałem z tym kloszem na szyi komicznie wyglądać i nie wiem, czemu Zygmunt wcale się nie śmiał.

—*We've got to take that too, sometimes* — powiedziałem do łącznikowego, który grzbietem bloku sygnałowego zgarniał szkło ze stołu.

Piąta seria była bardzo bliska. —skąd się na okręcie bierze tyle szkła do tłuczenia?—pomyślałem.

Po szóstej nastąpiła dłuższa przerwa.

Zmiana wachty. Sterczę w centrali.

—Czerwony trzydzieści, słychać śruby—chwila ciszy—sześćdziesiąt obrotów, kontrtorpedowiec. . . . Słucha nas. . . .

I znów za jakiś czas:

—Uzyskał kontakt z nami . . . Przechodzi do ataku.

—Uparli się dziś—mówi dowódca.

Patrzę na zegarek. Za pół godziny powinno już być widno.

—Rzucił. . . .

Jeszcze ciągle jest coś, co może brzęczeć i tłuc się.

Patrzę na dowódcę i mam wrażenie, że gra z kontrtorpedowcem w *baccarat'a;* jeśli głębokość, jaką my trzymamy okaże się taka sama, na jaką nieprzyjaciel nastawił bomby hydrostatyczne, to . . . Stawka w tym *baccaracie* jest dość poważna. . . .

Dziewiąta seria jest chyba najcelniejsza z dotychczasowych. . . .

—Gaz z baterii! — melduje dziób.

—Sprawdzić uszkodzenia! Panie por, na peryskop, już powinno być widno.

Wyprowadzam okręt do góry.

—Podsłuch podać namiar!

—Zielony osiemnaście, dwadzieścia jeden. . . . Dwadzieścia pięć. . . .

—Dobrze, widzę: kąt biegu prawo sześćdziesiąt , szybkość dziesięć. . . . Peryskop dół!

Zygmunt już jest w centrali, oblicza dane do ataku.

—Oba motory cała naprzód, ster prawo na burt! . . . Ster zero! . . . Oba motory wolno . . . Peryskop góra! Uwaga na aparatach . . . PAL!!! Peryskop dół. . . .

Lekki wstrząs okrętu, drugi, trzeci, czwarty! Poszły . . .

—Ster lewo na burt, oba cała naprzód!

Trochę za blisko byliśmy . . .

Huk jeden, drugi! Za chwilę trzeci tak wściekle silny, że znowu jakieś szkło posypało się w okręcie.

Wybuchy następowały jeden po drugim przez jeszcze jakieś dwie minuty.

—Bomby miał odbezpieczone—stwierdziłem to, co i tak każdy wiedział.

—Peryskopowa!—padł rozkaz dowódcy.

—Peryskop dół! Wynurzenie na sterach! . . . szas balastów!

Ukłucie w uszach przy otwarciu włazu. Uruchomiono wentylację.

Na powierzchni pływała tylko pusta tratwa ratunkowa . . .

ANDRZEJ GUZOWSKI

W Afryce Zachodniej



I.
WYJAZD

Zaczęło się od tego, że wydano nam "kit." Nie taki do lepienia okien, ale kit angielski. Były w nim najprzedziwniejsze rzeczy: hełm tropikalny, składane łóżko, miednica, krzesło, jakieś niewytłumaczalne druty, koszule i shorty, buty moskitowe z długimi cholewkami. Gdy w szkockim lasku ubrałem się w te dziwadła i przejrzałem w lusterku, powiedziałem sobie, że to nie do wiary, by szanujący się Warszawiak mógł nosić takie rzeczy bez narażenia się na pośmiewisko bliźnich. Schowałem wstydliwie wszystkie wymienione przedmioty i czekałem z niepokojem dalszych wydarzeń.

Następowały one z szybkością niezwykłą i gdyby nie cenzor dużo by o tym dało się napisać. Naszpikowany jak zając wszystkimi znanymi szczepionkami, dowiedziawszy się, że i tak będę miał malarię, mimo dawek chininy, pobłogosławiony przez różnych panów w melonikach /dlaczego zawsze i wszędzie ci panowie chodzą w melonikach?/ sloganami w rodzaju: "*If you don't like to swim, don't talk*" — płynąłem po wzburzonych falach Atlantyku i czułem wyraźnie, że naród polski jest stosunkowo młodą nacją morską.

Jak wszystkie dobre i złe rzeczy w życiu są nietrwałe, tak i mój raczej smutny stan z pierwszych paru dni minął. Wyszedłem na pokład naszego statku właśnie w momencie, gdy jeden z wilków marszałka Goeringa składał nam wizytę. Wizyta była krótka, pomimo to jednak zwróciłem uwagę, że część doświadczeńszych pasażerów zaczęła wykazywać duże zainteresowanie pasami ratunkowymi, które od pierwszej chwili wszyscy nosili stale na sobie. Paru lotników /oni zawsze eleganccy/ sprezentowało *Mae Westki* jajecznicowego koloru. Rozmowy toczyły się na tematy bardzo ograniczone. Ile komór wodoszczelnych ma nasz statek. Jak prędko tonie po otrzymaniu torpedy. Znaleźli się eksperci od spraw morskich, którzy podnosili na duchu niemorski naród i innych szczurów lądowych, twierdząc kategorycznie, że dla naszego statku trzeba aż trzech torped. Kwestia jak skakać do wody, by pas ratunkowy nie urwał głowy, również była poruszana.

Organizacja marszałka Goeringa nie działała jednak sprawnie i po 24 godzinach oczekiwań wróciliśmy do normalnych tematów. Jakiego rodzaju "*curry*" sprezentuje nam na obiad nasz indyjski sztab kucharzy i czy to prawda, że jeden z angielskich oficerów ma na statku wziąć ślub z siostrą Czerwonego Krzyża.

SPOTYKAMY SŁOŃCE

Zawędrowaliśmy już daleko na południe. Po raz pierwszy czuję pieszczotę słońca. Morze jest błękitne, marszczy się z lekka. Wyszliśmy z krainy chmur, mgieł i wiatrów — płyniemy do słońca.

Noc jest ciepła i wielu towarzyszy podróży wynosi pledy i poduszki, by spać na pokładzie. Koło łodzi ratunkowych bieleją mundury sióstr Czerwonego Krzyża. Obok nich cienie koloru khaki. "W taką noc Jessyka uciekła z domu bogatego żyda," w taką noc Romeo wzdychał pod balkonem Julii i ja wzdycham — cóż kiedy nikt nie słucha.

POWIEW TROPIKÓW

Dziś wkładamy tropikalne mundury. Przyznam się, że czuję się trochę rozebrany. Patrzę na moje nagie kolana i zdaje mi się, że jestem nieprzyzwoity. Wieje silny wiatr. Jest ciepły i wilgotny.

Morze zupełnie wymarłe: ani ptaka ani ryby. Jedyne stworzenie z lądu to jaskółka, która jedzie z nami. Nie wiem czy umówiła się ze swą towarzyszką w Zachodniej Afryce, w każdym razie jest ożywiona i wesoła, jak młoda mężatka oczekująca męża po dwutygodniowym pobycie w Krynicy /nie w Juracie oczywiście/.

Po południu morze ożywia się nagle. Stada latających ryb wielkości jaskółki wyskakują z wody i szybują ponad sto metrów. Obserwuję z zadowoleniem tę zmianę jesteśmy już daleko na południu.

W nocy morze zaczęło świecić. Meduzy, miliony meduz, w dzień niewidocznych, pobudzonych falami naszego statku wydają ze siebie tajemnicze światło. Wielkie alabastrowe lampy zapalają się w wodzie. Bezlik małych lampek jarzy się w grzywach tworzących się od dziobu statku. Jestem jak urzeczony tym niezwykłym widokiem.

Stoję obok angielskiego generała, który większość swego życia spędził w Egipcie i jest zamiłowanym okrywcą dawnych szlaków komunikacyjnych. Zbadał drogi karawanowe od jeziora Chad do Morza Śródziemnego, szlak niewolników i złota bielejący od kości ludzkich i zwierząt. Ludzie, którzy szli tą drogą, unikali doliny Nilu, bo choć wygodniejsza, od tysięcy lat była w rękach rozbójniczych plemion. Dowiaduję się, że wielbłąd może robić dziennie 40 mil od oazy do oazy, a raczej jak się przekonałem później od kałuży mętnej wody do następnej. Po chwili generał milknie.

Stoimy ponad godzinę, nie zamieniając słowa i patrząc na mieniące się fale. Nigdy więcej nie widziałem, by generał z kimkolwiek rozmawiał. To pierwsza noc tropikalna rozluźniła angielską dyscyplinę milczenia.

KŁADZIEMY "TOPEE"

Pozycja naszego statku jest otoczona tajemnicą. Jednakże od rana obowiązuje po godzinie 9-tej *topee*. Hełm tropikalny. Nie poznaję kolegów w tym śmiesznym, ale bardzo przydatnym nakryciu głowy. *Topee* jest lekkie i przewiewne. Dla wtajemniczonych /ja do nich należę/ oznacza ono, że przejechaliśmy zwrotnik. W południe słońce stoi prawie pionowo nad głową i człowiek chodzi bez swego cienia.

Jest przyjemnie chłodno na pokładzie. W kabinach gorzej, gdyż zarządzenia *blackoutu* nie pozwalają na otwieranie iluminatorów. Jest bardzo duszno. Sytuację ratuje wentylator, który od tego dnia rozbija powietrze dzień i noc. Śpię zupełnie nagi ku zgorszeniu mojego sąsiada.

LĄD

Czasy się zmieniły. Marynarz z bocianego gniazda nie wykrzykuje radośnie: "ląd, ląd," mewy nie fruwają nad statkiem. Bliskość wielkiego portu Zachodniej Afryki zwiastuje tylko wybuch bomb głębinowych, rzuconych przez eskortujący nas okręt wojenny, w czasie, gdy jem *curry a la Calcutta*. Zamiast mew — *Flying Boat* zatacza nad nami majestatyczne kręgi.

Rano ukazuje się "Czarny Ląd." Nie jest czarny, ale — zielony. Z morza wychodzi na nasze spotkanie wyspa zieloności. Góra ubrana w welon chmur. To Free Town w Sierra Leone. Jest to najdalsze miejsce w Afryce znane starożytnym. Nazwę nadali mu pierwsi podróżnicy purtugalscy. Sama nazwa Sierra Leone /Góra Lwia/ nie jest dostatecznie wyjaśniona. Jedni twierdzą, że góra nad Free Town ma kształt lwa /ja mimo wysiłków wyobraźni nie widzę w niej nic lwiego/, inni, co wydaje mi się bardziej prawdopodobne, nadali nazwę lwa górze, która przez większą część roku grzmi smagana piorunami przelatujących *tornado*.

Miejsce ma nieprzyjemną nieoficjalną nazwę "grobu Białego Człowieka." Przed wynalezieniem szczepionki przeciwko żółtej febrze niewielu ludzi mogło się poszczycić medalem "za dziesięć lat wiernej służby." To miejsce wybrała miłościwa królowa Wiktoria na założenie kolonii wyzwolonych murzynów. Żeby im się zbytnio nie nudziło ożeniła ich z 60 białymi dziewczynami lekkich obyczajów, wybranymi z Londynu, i wysłała statkiem z jednego z południowych portów Anglii. Przybyli w porze deszczów, które tu niczym nie przypominają kapuśniaczków szkockich. Połowa z 360 murzynów i 60 białych kobiet wymarła w przeciągu paru miesięcy. Reszta to dziadkowie dzisiejszej ludności Free Town, którą od elementu napływowego łatwo odróżnić po jasno czekoladowym kolorze skóry.

PIERWSZE WRAŻENIA NA LĄDZIE

Wchodzimy po długich "tańcach wojennych" do portu. Stoję z kolegą przy burcie. Widok jest wspaniały. Biały lśniący piasek niekończącej się plaży. Palmy kokosowe schylają swe ciężkie głowy ku załamującym się z hukiem falom.

Nie dziwię się opowiadaniom podróżnika fenickiego Hanno, który około 500 lat przed Chrystusem dotarł do tego miejsca i twierdził, że im bliżej równika tym woda morska jest bliższa wrzenia. Jest rzeczywiście piekielnie duszno nawet na statku, choć wiatr wieje. Zaczynam się pocić. Powietrze jest nasyconę do tego stopnia parą wodną, że mokry ręcznik wywieszony na pełne słońce nie wysycha. Morze rozbijające się o brzeg, wygląda w tym błyszczącym słońcu jak gotująca się woda.

Widzę pierwszych tubylców podpływających w małych wydrążonych z jednego pnia łodziach. W jednej z nich wspaniale zbudowany murzyn o przyjemnym jasno-czekoladowym kolorze skóry. W rękach trzyma wiosło w kształcie szerokiej włóczni. Wykrzykuje coś do nas w *pidgen English*. Rozumiem tylko jedno słowo: szyling — rzucam szylinga za burtę. Brązowy tors pręży się i murzyn wyskakuje z łodzi do wody. Za chwilę wypływa, trzymając w zębach mego szylinga. Podpływają inni, wyglądają bardzo malowniczo w kolorowych opaskach na biodrach. Widać, że w porcie jest dużo zajęcia, bo niżej 6 pensów nie chcą skakać. Nawet tych ludzi wojna zepsuła.

Zbliżają się większe łodzie. Są to przedsiębiorstwa sprzedaży owoców. Zgłodniali witamin towarzysze podróży stają przy burcie. Tranzakcje odbywają się starym od lat wypróbowanym sposobem. Sznur zakończony kawałkiem bambusa wylatuje na wysokość trzech pięter. Chwyta go biało ubrana siostra Czerwonego Krzyża. Na końcu długiego sznura jest pleciony koszyk. Podciąga do góry, kładzie szylinga: koszyk wraca na łódź, by po chwili wylądować na statku. Teraz jest napełniony po brzegi bananami i pomarańczami. Pierwszy raz widzę zachodnio-afrykańskie pomarańcze. Są one zielone i mam wątpliwości, czy są dojrzałe. Wątpliwości o tyle słuszne, że jak się potem przekonałem, pomarańcza dojrzała jest wprawdzie zielona, ale ma dość wyraźne żółte plamy.

Należę do szczęśliwców, którym wolno wysiąść na ląd. Wszystko jest tak inne, tak odmienne od Europy, że nie mogę się połapać. Pierwsze wrażenia, które wydawałoby się, można przewidzieć, zaskakują mnie. Ludzie nie są biali, ale czarni. Są kolorowo ubrani — nic z szarzyzny Europy. Czerwień, błękit, żółcizna mieszają się na opończach murzynów. Noszą się do połowy z europejska, od połowy po tubylczemu. Koszulka biała zrobiona w Manchester a na biodrach kolorowa opaska. Większość boso, niektórzy w sandałach.

Przejeżdżając przez miasto rządowym samochodem, widzę cały szereg elegancko ubranych czarnych. To kasta miejscowej inteligencji. Oprócz willi o dziwnym stylu z obszernymi werandami, są lepianki gliniane pokryte falistą blachą. Całe domki z falistej blachy. Ulice asfaltowane i czyste. Po obu stronach ulicy bardzo głębokie rynsztoki dla spływu wody.

W mieście dziwny zapach wędzonych ryb i pieczonych bananów. Gruba *mummy* /tak nazywają biali murzynki/ siedzi na zydelku przed piecykiem, na którym smaży wielkie banany. Mój towarzysz, który jest "starym człowiekiem wybrzeża" */old coaster/* śmieje się ze mnie, że nie potrafię odróżnić platana od banana. Różnica jest istotnie dość duża. Oglądam bliżej piekarnię mojej *mummy*. Platan jest dwa razy większy od normalnego banana i nie można go jeść na surowo. Jest to jarzyna.

Jemy bardzo dobry obiad, którego menu niczym nie przypomina Europy. Duża szklanka soku z pomarańcz, ryż z kurą ugotowaną w oleju z orzeszków ziemnych i sałatka owocowa z paw-paw, ananasa, grapefruit i pomarańcz.

Po obiedzie nasi gospodarze pokazują nam Afrykę. Jedziemy przez puszczę. Drzewa nie są duże. Jest to las drugorzędny, wyrosły na miejscu olbrzymów, których użyto na budulec. Przy drodze widzę palmy olejowe i kokosowe.

Przejeżdżamy przez wioskę murzyńską. *Mummy* siedzą rozebrane, pokazując swe zbyt obfite piersi. Ubijają w wielkich kadziach *fufu*, przy czym dzieci śpią spokojnie przywiązane z tyłu do pleców matek. Widzę jak jedna, daje piersi, nie przerywając czynności tłuczenia w kadzi. Przesuwa czarne diablątko z tyłu na bok, dzieciak siedzi jej okrakiem na biodrze i ssie olbrzymią pierś.

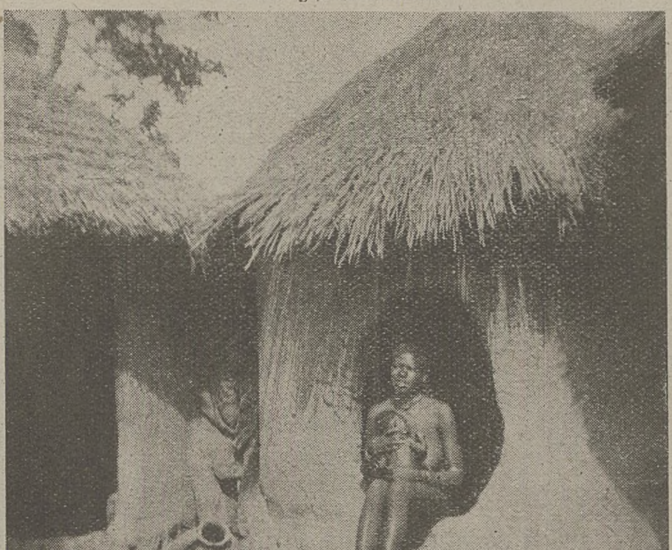
Wtem w tysiącletnią wieś wdziera się niespodziewanie wojna i nowoczesność. Murzyn w mundurze khaki, w hełmie szturmowym, owijaczach na nogach i . . . boso wpada na motocyklu do wsi i zatrzymuje się przed jedną z chat. Nikt oprócz mnie nie okazuje temu jakiegokolwiek zainteresowania.

Wracam wieczorem na statek. Śnią mi się czarne twarze, palmy, rozlewiska i mangrowce wypuszczające korzenie z gałęzi. Jest bardzo duszno.

HENRYK GIEŁDZIŃSKI



Wioska murzyńska



Mummy z dzieckiem



Rodzina tubylców

Miła Redakcjo!

Przesyłam dziś ostatnią serię obrazków z podróży po Anglii z przedstawieniem "Polish Panorama." Wszystkim cierpliwym Czytelnikom pięknie dziękuję za wytrzymałość. Wszystkich, którzy zirytowali się może przewijającą się tu i ówdzie "propagandą zespołu i przedstawienia" /ulubiony polski wyraz: "autoreklamą"/, zapewniam teraz na końcu, jak to zrobiłem na początku serii, że w treści tych reportaży jedynie ważne były momenty, dotyczące kontaktów polskich z Brytyjczykami i wnioski nasuwające się z obserwacji. Wszystko inne było tylko tłem. O tym starałem się pamiętać w felietonach z objazdów. Nie wiem, czy mi się to udało. Tych, którzyby sądzili inaczej — zgodnie ze zwyczajem angielskim — szanuję i przepraszam za zbyt długą serię "podróżniczą."

* * *

Bez black-outu

W Bedfordzie odbywa się zebranie obywatelskie przedstawicieli "miejscowego społeczeństwa" w sprawie organizacji występu polskiego zespołu żołnierskiego w tym mieście. Jestem na tym zebraniu i pilnie obserwuję przebieg posiedzenia. Przy stole siedzą: mayor miasta, przedstawiciele prasy, radia, literatury, Rotary Clubu, organizacyj wojskowych. Obrady nie mają w sobie właściwie niczego z obrad. Przemówienia nie mają niczego z przemówień. Oh, jakież to dalekie od "kontynentalnego" nastroju i naszego typu posiedzeń!

Krótkie zagajenie mayora jest właściwie kilkuzdaniowym monologiem z dwoma dowcipami i nieodstępnym uśmieszkiem. Atmosfera jest pełna wzajemnej życzliwości, mimo odmiennych czasem opinii. Niewątpliwie przez salkę idzie ciąg świeżego powietrza. Nie ma zaduchu papierowo-biurokratycznego, nie ma niczego z "formalistyki stosowanej," nie ma czyhania na sposobność wywołania burzy dyskusyjnej, nie ma przewlekłych, uroczystych oracji.

Jestem po raz pierwszy na takim posiedzeniu i otwieram szeroko oczy. Wpadam w małą zadumę zastanawiając się, jakim sposobem można by owo angielskie "powietrze wysokogórskie" wpompować na salę naszych zebrań obecnych i przyszłych. Specjalnością brytyjską są niewątpliwie w takich okolicznościach "dogaduszki," czyli — jak starzy Wiedeńczycy nazywali: "Zwischenrufy." Anglicy są mistrzami tych powiedzonek wtrącanych najbardziej niespodziewanie. I to pewnie nadaje zebraniu ton lekkości, stwarza atmosferę towarzyską, naturalną i swobodną. W takim nastroju najtrudniejsze zagadnienia rozwiązuje się sprawnie i łatwo.

Niewątpliwie widziałem bardzo mało takich zgromadzeń brytyjskich. Może ktoś w Anglii lub Szkocji spotkał się z innymi; może i tu są formaliści ukryci, i papierowi biurokraci, może i tu trafiają się nieopanowani oratorzy. Ja byłem na innym zebraniu i silnie mi ono utkwiło w pamięci.

* * *

W tym samym Bedfordzie organizator przedstawienia, Polak, który połowę życia spędził poza Polską, serdeczny opiekun polskich spraw na terenie bedfordzkim, F. Fleminger, urządził w owym czasie bardzo ładnie pomyślaną wystawę w oknach jednego z większych magazynów. Bedfordczycy gromadzili się tłumnie przed oknem i, co najważniejsze, zatrzymywali się dłużej. Wystawa niewątpliwie do nich przemawiała: była skromna, operowała cyframi i datami przejrzyście i oszczędnie; była rzeczowa i naturalna. To wszystko.

Bedfordzki "Rotary Club" zaprosił zespół polskiego teatru żołnierskiego na obiad dla jeszcze ściślejszego nawiązania znajomości z Polakami. Jak zwykle w Anglii nie sam obiad był ważny, nie treść, "menu," ale treść tego, co się w czasie obiadu powie. Temat przemówienia przewodniczącego, czy też zaproszonych do głosu mówców. Dbałość o treść wewnętrzną takiego obiadu jest bardzo charakterystyczna.

Lunch w Rotary Clubie był krótki: od 1.15—2.30. W tych 75 minutach zmieszczono łącznie ze spożywaniem darów Bożych, zresztą bardzo skromnych, trzy przemówienia członków Rotary Clubu, dwa przedstawicieli zespołu i krótki koncert utworów Chopina i pieśni polskich. Doliczmy do tego dłuższy czas poświęcony na rozmowy z sąsiadami przy stole po lewej i prawej, których tematem przeważnie były nasze stosunki z sąsiadami Polski po lewej i prawej, zresztą bardzo trafnie oceniane i zadziwiająco solidarne uczuciowo z nami — a będziemy mieli obraz tego, jak krótko mówili Anglicy i jak krótko grali i śpiewali Polacy.

Zakończył, jako ostatni mówca, sekretarz klubu: — "Z waszych pieśni bije duch, zadzierzysty duch odporności. Bije wigor życiowy. I to ceni w waszym narodzie każdy rozumny Brytyjczyk. Słuchając waszych porywających pieśni jeszcze lepiej was poznajemy, jeszcze lepiej was rozumiemy. Możecie być pewni nie tylko zrozumienia, ale i naszej przyjaźni . . ."

* * *

Następny tydzień spędzaliśmy koło Y. na małej, oddalonej od miasta farmie, prowadzonej przez N.A.F.F.I., gdzie umieściła nas E.N.S.A. dla sprawniejszych i szybszych dojazdów do okolicznych "campów" i lotnisk. Farma ta bez jajek i mleka, a raczej hodująca "sausage" i ciekawe odmiany gastronomiczne różnych "mince-pies" stworzyła nam wiele możliwości do nowych obserwacji.

Tydzień mieszkaliśmy razem z kilku angielskimi artystami z E.N.S.A., którzy stąd również wyjeżdżali codziennie na przedstawienia dla żołnierzy. Trupa ta — jedna spośród kilku tysięcy trup E.N.S.A. objeżdżających tę wyspę w każdym tygodniu — składała się: z "producera" czyli reżysera a nie "producenta," jak niektórzy z nas jeszcze piszą, dalej z jednej "charakterystycznej" / żona "producera"/, z jednej śpiewaczki, sześciu bardzo miłych "girls," ksylofonisty, Hindusa-magika i poczciwego starszego pana, który pięknie gwizdał na . . . gardle.

W pierwszej chwili miałem poważne obawy jak ten tydzień się skończy, co więcej, jak ten tydzień się zacznie, ale . . . znowu niespodzianka. "Producer," człowiek skromny i kulturalny, okazał się bardzo oddany Polakom i sprawie polskiej, był skłonny do wzruszeń i do ognistych politycznych dyskusji. W czasie jednej z nich powiedział: — "Jestem obywatelem brytyjskim i ufam mojemu rządowi. Jestem pewny, że gdy pan, czy któryś z przyjaciół będzie miał trudności z powrotem do swego rodzinnego miasta — to nie tylko pan, ale i ja będę się bił o to miasto! Pan i ja! Bo rok 1939 obowiązuje."

Żona "producera," starsza pani, na ogół spędzała wolny czas przy kominku na "włóczkowych robotach." Ksylofonista, żeby nie wyjść z wprawy, ćwiczył ciągle w hallu, ale cichutko, dyskretnie, nikomu nie przeszkadzając. Poza tym kochał się potajemnie w jednej z "girls" i był pełen nietajonej obawy przez cały czas pobytu osławionych łowców serc . . . "dangerous Poles." Poczciwy "świstak" zespołu,-stary Bill, gruby, jowialny jegomość, poświęcił ten tydzień na naukę języka polskiego i zamęczał nas wszystkich. Robił wielkie postępy i ilekroć wychodził z "sitting-roomu" z triumfującą miną zamiast: — "Do widzenia," mówił nam wszystkim: — "Dzień dobry."

Najstarsza z "girls" miała 17 lat, więc słusznie mówił stary Bill: "wozimy ze sobą nursery." Panienki te były ciche i bardzo grzeczne, doskonale ułożone. Zadziwiające było na przykład ich niemal rodzinne, uroczyste pożegnanie przed udaniem się na spoczynek. Dziewczęta całowały się serdecznie i zachęcały jedna drugą: go to bed early, gdyż jutro znowu czeka praca.. W sumie cały ten zespół robił wrażenie harmonijnie żyjącej rodziny.

Najkapitalniejszą postacią był jednak magik-Hindus, ex-dyrektor teatru hinduskiego w Wielkiej Brytanii, właściciel wielu kamienic i majątków, kompletny analfabeta, niesamowity brudas, jowialny, przemiły kompan, o niezwykle wysokim, "damskim" głosie. Typ ten mięsa w ogóle nie jadał, ale nie rozstawał się natomiast z papryką, co budziło przerażenie u miejscowych Anglików, którzy ostrzegali nas życzliwie na ucho, aby tego broń Boże, nie kosztować, bo to tylko magik może jadać. Trucizna! O naiwni synowie Albionu. Gdybyście spróbowali "paprykarzu" od Teliczkowej, gdybyście znali "słoninkę paprykowaną" wyrobu lwowskiego Nowaka!

Pewnego popołudnia nastąpiła w "sitting-roomie" wzajemna wymiana produkcji: nasz akordeonista, mało Henio, wystartowa z "Lekką kawalerią," brytyjska produkcja odpowiedziała śpiewaczką, myśmy chóralnie wykonali "Warszawiankę," która wywarła na nich wielkie wrażenie, a oni odpowiedzieli pięknym tańcem solowym i numerem popisowym szóstki "girls." Na koniec nauczyliśmy ich piosenki finałowej naszego programu na nutę: "Gdy w Ogrodzie Botanicznym":

When to our Botanic Garden
comes Spring again,
We'll be happy there in Warsaw
and sing again,
The song must sound again aloud
Free, happy, sunny, strong and
proud.
Soon will come the Spring to
Poland,
And we'll return, there's no doubt.

Bardzo łatwo podjęli melodię i śpiewaliśmy razem. Każdego wieczora po powrocie z pracy oni opowiadali nam o wrażeniach z widowni, my dzieliliśmy się naszymi, po czym odbywała się tradycyjna "party" karciana. Warto było zobaczyć siedzącego w kucki Hindusa "mistrza magii," którego niemiłosiernie na grube "peniaki" ogrywali w "dziewiątego wała" — Lwowiacy.

Pożegnanie z tym zespołem angielskim było naprawdę bardzo serdeczne. "Producer" dostał książkę o Polsce, a dziewczęta orzełki. Bill powiedział nam na pożegnanie: — "Dzień dobry," po czym, gdy autobus odjeżdżał ktoś z nich zaśpiewał: — "Soon will come the Spring to Poland, and you'll return there's no doubt."

* * *

W bardzo dużym obozie w pobliżu Y. spotykamy się po raz pierwszy z Royal Navy. Doskonała organizacja i bardzo przyjazny nastrój z miejsca chwytają nas za serce. Marynarze dbają o każdy szczegół, dokładając starań, by przedstawienie wypadło jak najlepiej. Reakcja widowni należy do zupełnie wyjątkowych, grający muszą często przerywać tekst. Marynarze żądają "ancorów," to znaczy bisów i gwiżdżą na palcach z zadowolenia.

Cieszymy się tą sympatią i — zapisujemy ją tylko w małym procencie na nasz rachunek. Zdajemy sobie dobrze sprawę z tego, że marynarze w ten sposób manifestują swoją sympatię dla żołnierza polskiego. Dowódca obozu mówi na zakończenie przedstawienia ze sceny: — "Znamy świetnych polskich marynarzy. Walczą razem z nami ramię przy ramieniu. Cenimy sobie wysoko waszą przyjaźń i braterstwo broni . . . ." Okrzyki na cześć Polski, podjęte przez całą widownię zakończyły ten bardzo wartościowy dla nas wieczór.

Po tym przedstawieniu przyszło do nas kilku marynarzy za kulisy i pomagając w pakowaniu dekoracji i rekwizytów zaśpiewało nam nową piosenkę marynarską, która powstała w tym obozie. Tytuł: "Queumonia" czyli "Ogonkomania." Cytuję cały tekst angielski piosenki, gdyż rzuca ona ciekawe światło na postawę i sposób myślenia przeciętnego żołnierza brytyjskiego:

"Since I joined the Navy
I have had queumon a.
I queue up for every blinking
thing,
I queue up for my breakfast—and
I queue up for my tea,
I queue up for my dinner—and
I queue up for a bit of supper,
Then I have to queue up
Every other Friday,
For my pay. Then to the pub,
I roam. Now I am queuing up
For Berlin—and when
Old Adolf's given in
You'll find me queuing up
For home sweet home."

Tak tak. Stał w ogonku po breakfast i po dinner, stał w ogonku do baru, a teraz staje w ogonku do Berlina, by skończyć z Adolfem. A po tym? Stanie w ogonku do . . . domu.

* * *

W drodze powrotnej w Anglii nasz "Dziadzio" /autobus/ zaczął nagle na szosie perczeć i kichać: za mało benzyny. Przejeżdżaliśmy właśnie koło jednego z obozów amerykańskich. Mając pozwolenie pobierania benzyny tylko w "pompach" brytyjskich, nie byliśmy pewni pomocy. Nieśmiało zatrzymaliśmy autobus i jeszcze skromniej wychyliliśmy głowy przez okno . . .

Koło pompy kręcił się jasnooki żołnierz w kombinezonie i charakterystycznym amerykańskim kapelusiku roboczym. Jeden z naszych wysila się na najlepszą "amerykańską angielszczyznę" i zapytuje o benzynę. Amerykanin słucha, zastanawia się, po czym uśmiechając się podnosi rękę na znak wolnego wjazdu i mówi najczystszą polszczyzną: — "Zajeżdżajcie! Dawaj kamrat do tyłu, to wam naleję."

Oczywiście kamraty powyłaziły z "Dziadzia" i długo przeszkadzały przy pompie Polakowi w amerykańskim kombinezonie. Polski nie zna. Urodził się w Chicago. Rodzice 40 lat temu wyemigrowali ze Starego Kraju, ale uczyli go, naturalnie uczyli go po polsku i do polskiej posyłali szkoły.

Jasio Wojtuła dostał srebrnego orzełka z kokardką biało-czerwoną na pożegnanie, a choć skromna ta "dekoracja" odbyła się przy pompie, był nią najwidoczniej ujęty, bo powiedział: — "To oddam chyba tylko mojej przyszłej żonie" . . .

Jakoś lepiej, jakoś lżej jechało nam się na tej amerykańsko-polskiej benzynie szczodrze nalanej przez Wojtułę.

Widocznie "Dziadzio" poczuł w sobie moc Nowego Świata.

WIKTOR BUDZYŃSKI

TARGI WSCHODNIE . . .

Przyjaciołom z Dywizjonu Myśliwskiego
"Lwowskich Puchaczy"
poświęcam.

Przyszedł kupiec ze Wschodu
W tym marcu. Próbuje . . .
Może Lwów? Może Wilno?
Nic nie utarguje.
Nie przez tę lub inną z Kart,
Nie przez nasz twardy kark,
Ale przez tamten krwią polskich wart
Przecięty — wrześniowy targ!
Targ o Gdańsk, o "korytarz,"
Targ o inny świat . . .
Naprożno kupcze pytasz —
Od Bzury i Wisły idą echem wołania:
"Nie mamy nic do sprzedania."

* * *

W tym marcu w Anglii czy w Szkocji
Poczciwy Mr. Brown ma tyle, tyle emocji:
"What do you think about?" I tak dalej . . .
A tobie łzy w serce płyną,
A ciebie twarz pali.

* * *

Redaktorom znajomym
W "Tribune" czy "Statesmanie" —
Niech Mr. Brown dziś powie,
Że "Curzon" to nieporozumienie,
Że tak jak Pan ma swój "home,"
Mr. Brown — w Oxfordzie, w Devonie,
w Glasgowie,
Tak ja mam dom,
Rodzinny dom —
— Mój —
Tam — we Lwowie.
I tak jak Pan powraca codziennie
/Niemalże od powicia/
Do home'u na cup of tea —
Tak ja chcę wrócić do domu
Na resztę życia . . .
Czy wolno mi?

* * *

O, Mr. Brown, Do you know a song:
"Home sweet home" . . . ?
W tym nie ma wyrzutów ni skarg,
Ni łamania rąk,
Ni politycznych gier . . .
To tylko nasz dalszy ciąg,
Bo tamten wrześniowy targ
Szedł właśnie o Dom,
O Twój i mój Dom . . .
"Home sweet home."
Yes — sir!

* * *

To nie jest anty-rosyjskie,
To nie jest anty-brytyjskie,
To nie jest anty-litewskie
I nie jest . . . anty-żmudzkie —
To właśnie całkiem angielskie . . .
To takie bardzo — ludzkie.

4.III.1943.

WIKTOR BUDZYŃSKI

Skrzynka pocztowa

Z ARGENTYNY

Do "Polski Walczącej,"

Znowu upłynął rok jeden bezgranicznych ofiar i męczeństwa w tej bezprzykładnej w historii walce dwóch światów: dobra ze złem, zbrodni ze sprawiedliwością. Argentyna wciąż pozostaje neutralna i prawdopodobnie ten stan rzeczy potrwa do końca wojny. Dużo czynników składa się na to, Argentyna jest jedynym krajem na świecie, gdzie nie odczuwa się większych wstrząsów gospodarczych. Zmalał eksport zboża, ale wzrósł wywóz produktów wysokowartościowych, jak mięsa, skóry, ser i masło, wino, wełna i wiele innych artykułów znalazło zbyt w Stanach Zjed. i W. Brytanii. To też dodatnie saldo handlowe na korzyść tego kraju stale wzrasta.

Brakowi środków przewozowych zaradzono bardzo radykalnie — uruchomiono okręty włoskie, niemieckie, duńskie, a ostatnio i francuskie, które tu stały bezczynnie od początku wojny, flota rządowa z nich uformowana dochodzi obecnie do 150 tys. ton. Rząd za ich pomocą ekspediuje towary i sprowadza niezbędne dla kraju, obsługuje się linie do San Francisco i N. Orleans w Ameryce Północnej, do Poł. Afryki. Komunikacja ta odbywa się bez strat, wiedzą dobrze naziści, że jedna torpeda może wysadzić w powietrze tę ostatnią wysepkę, gdzie jeszcze są tolerowani, to też siedzą jak mysz pod miotłą. Energiczne zarządzenia rządu, aresztowanie szpiegów, rozwiązanie rozmaitych "*Winterhilfe*" i innych towarzystw, zamknięcie szkół, a co najważniejsze, poddanie cenzurze komunikacji telefonicznej, telegraficznej i radiowej położyło kres działalności szpiegowskiej.

W życiu Polonii Argentyńskiej zauważyć się daje dalsza konsolidacja, towarzystwa, szkółki prosperują, rozszerzając swój zakres działania. Próby wniesienia zamętu i dezorganizacji w nasze szeregi spaliły na panewce, pociągnięcie nas do Kongresu Słowiańskiego nie udało się.

"Polska Walcząca" ma tu wielu sympatyków, a bodaj że jest jedynym pismem, które dodaje otuchy w tych ciężkich czasach. W roku ubiegłym wydano w B. Aires książkę, napisaną przez emigranta polskiego "Nadbereżyńscy." Wysłaliśmy kilkanaście egzemplarzy do Anglii pod rozmaitymi adresami, w tej liczbie i do "Polski Walczącej." Pomocy materialnej w wydaniu tej książki udzieliło kółko akademickie "Polonia Libre," założone na początkach wojny, które oddaje duże usługi naszej sprawie, popularyzując dzieła naszej literatury. Służy nam poradą, a wszystko to spełnia tylko z poczucia sympatii dla naszej sprawy.

Franciszek Dembicki

Z życia obozów

Sztuka jazdy na kariersie

Obok wielu różnic, jakie zachodzą pomiędzy ostatnimi Bourbonami *ancien régime'u* a oficerami Armii Polskiej przebywającymi obecnie w Szkocji, istnieje kilka poważnych zbieżności. Do najgłówniejszych należy ciągłe podróżowanie wzdłuż utartych szlaków w obrębie od dawna i dobrze znanych okolic.

Powody tego zjawiska są jednakże odmienne w obu wypadkach. Ludwik XIV czy XV przenosił się z St. Cloud do Wersalu a stamtąd do St. Germains i z powrotem częściowo dla rozrywki, częściowo z nudów, częściowo dla tradycji. Oficerowie polscy natomiast krążą po wąskich i krętych drogach hrabstwa X. i koczują w jego sennych miasteczkach z powodu tak zwanych kursów.

Prawdopodobnie już nawet centurioni Juliusza Cezara musieli jechać co pewien okres czasu na kursy włóczników, ballist czy taranów. Kursy to stara i wypróbowana instytucja wojskowa. Centurioni też prawdopodobnie bardzo klęli z jej powodu, szczególnie bezpośrednio po przybyciu na nowe miejsce zakwaterowania z betami, bronią i garnkami.

Polskie oddziały stacjonują w Szkocji już trzeci rok, nieznacznie tylko przesuwają się w obrębie górskiego królestwa. Ilość kursów wszelkich odcieni, nauki i sztuki nowoczesnego i zwycięskiego prowadzenia wojny rozrosła się jak grzyby po deszczu w wilgotnym, ciepłym i zacisznym zagajniku.

Z powyższej przenośni nie należy jednak wyciągać mylnych wniosków co do przejściowego ich charakteru. Wprost przeciwnie. Trwałością, surowym rytuałem i niezmiennością przypominają one raczej wiekuistą przemianę pór roku, pra-słowiańskie misterium, czy rytualny balet.

Tak więc już przeszło od dwóch lat wędrują oficerowie na kursy dowódców kompanii i batalionów, broni lekkiej i ciężkiej, gazów i pralni mechanicznych, administracji i skoków ze spadochronem i setek innych znacznie bardziej tajemniczych dyscyplin. We względnym spokoju i ciszy garnizonu oblężonego na wyspie przygotowują się do przyszłych przewag.

* * *

We właściwym czasie i w myśl tajemniczych planów grupa oficerów z czterech krańców Szkocji, rozlicznych dzielnic Polski i wszelkich możliwych zawodów znalazła się pewnego wiosennego popołudnia przed budynkiem, mieszczącym w sobie dowództwo "X" oddziału rozpoznawczego brygady "Y."

Wiosna była w pełnym rozkwicie. Parki i laski nad . . . pokryte były liliowymi i szkarłatnymi kwiatami rododendronów a rozległe horyzonty uśmiechały się głębią granatowych i mglistych przestrzeni.

Szata adiutanta oddziału, który wyszedł na powitanie przybywających, nie miała w sobie nic z godowych szat wiosny. Brudne i zatłuszczone drelichy nowoczesnego kawalerzysty mają w sobie coś z beznadziejności nigdy nie kończącej się walki człowieka z maszyną, kapryśnym i nieobliczalnym wampirem, wysysającym pod pozorem użyteczności — siły, zdrowie, dobre maniery i pieniądze ze swoich ofiar, niewolników, opętanych morderczym oddechem motoru spalinowego, czcicieli pompki benzynowej, karburatorów Solex i Zenith, wielbicieli wewnętrznego sprężania, wału rozdzielczego i palca automatycznego rozdzielacza.

Na twarzy adiutanta malowało się wyraźne zakłopotanie:

—"To panów aż tyle?

—? ? . . .

—"No, bo z batalionu awizowano przyjazd tylko . . . astu a tu tymczasem . . ."

Stara rezydencja podobna jest do setek innych starych rezydencji w Szkocji. Aleja szeroka i cienista od drogi głównej, podjazd pod dom, wysypany żwirem i zaniedbany, zwilgotniały od dołu tynk budynków. Od tyłu dekoracyjne krzaki i drzewka, służące przede wszystkim do zaciemniania pokoju, podchodzą pod same okna. Bluszcz na ścianach zachodzi aż pod dach piętrowego budynku.

Widok za to od drzwi wejściowych równoważy defekty architektury. Łąka nieopisanej zieloności, gęstych i puszystych traw, opada ku drodze obramowanej kamiennym płotem i wysadzanej klonami po obu stronach. Dalej teren opada jeszcze niżej i wreszcie na horyzoncie pod ciemno liliowym o tej porze dnia konturem wzgórz, już po tamtej stronie zatoki odcinają się niby trzy mrowiska, czy trzy ciemne piramidy przęsła . . . *bridge.*

W górze na tle nieba pokrywającego się seledynem od zachodu i popstrzonego niby atłasowa i pełznąca błękitna kołdra kłaczkami przesuwających się kumulusów i jeszcze wyższych białych strzępiastych chmur, nieruchomo stoją w zachodzącym słońcu dalekie balony zaporowe, niby wieloryby na uwięzi, różowe od spodu, łagodne i ślepawe.

—"Tymczasem będę musiał panów zakwaterować tutaj — ciągnie adiutant — jutro major wyda rozporządzenia. Proszę — okrągły ruch ręki — panowie pozwolą, że się przedstawię . . ."

Skomplikowany rytuał słowiańskiej grzeczności, pełen pomruków i szurania nogami, po czym całe towarzystwo wchodzi do domu.

Adiutantowi jest zdecydowanie przykro. W pokoju przeznaczonym dla kursantów, mieszka już grzyb ścienny. No, ale to lato i wojna, i w ogóle.

Kolejny kurs *carriersów* rozpoczął się.

* * *

Słowo "kariers" nie ma nic wspólnego, jak wiadomo ogólnie, z pojęciem "kariera." Raczej wprost przeciwnie. Szczególnie w *Polish Forces* w Szkocji na wiosnę Anno Domini 1942 i 1943. Wywodzi się ono od *Bren gun carrier* czyli "nosiciel karabinów Brena," a genealogicznie jest to praojciec wszelkich nowoczesnych czołgów brytyjskich. Jedno z drugim pudło z blachy stalowej, osadzone na dwóch wózkach i ośmiu kołach, posuwające się siłą motorów Fordsona po gąsienicy o 168 stalowych ogniwach. Stworzenie wrzaskliwe, grzechoczące i narowiste. Obłaskawione staje się prawdziwym przyjacielem człowieka, ale, jak mawiał już nieboszczyk Kipling, a w ślad za nim piszący wszelkiego autoramentu, którym nagle zabrakło inwencji — to już całkiem inna historia.

Kariers więc — pra-czołgiem trudno nazywać sprzęt codziennego użytku, a odpowiedniego terminu polskiego Komisja Regulaminowa dotąd nie wymyśliła — posiada liczne i tajne możliwości zastosowania. Przez wzgląd na bezpieczeństwo opuszczamy na nie zasłonę. Można je zresztą oglądać w dodatkach filmowych przedstawiających walki w Libii i gdzieindziej. Tu wolno jedynie podkreślić, iż jako wózki dla dzieci są one raczej trudne do użycia.

W znakomitej większości adepci kursu posiadają wiadomości z dziedziny wielkiej religii motoru spalinowego. Jeden z nich, galicyjski hrabia, ścigał się był swego czasu na Semmeringu i, co ponoć jest znacznie gorsze, po Lwowie. Nie wiadomo z jakiego powodu na kursie są również dwa wielkie samorodne talenty mechaniczne, które jak się okazało przy ewidencji umieją wprawdzie dobrze jeździć, ale na rowerze.

Kierownik zajęć kursu, czerstwy i rumiany brunet, pełen jest nadziei nawet w stosunku do samorodnych talentów mechanicznych.

—"Panie, to nie jest takie straszne. Ja w Żurawicy do czterech miesięcy, najgłupszych Jasiów potrafiłem nauczyć jazdy czołgiem. Da pan sobie radę. Tylko uważać co robią mądrzejsi koledzy . . ."

W samochodzie oddech pracy motoru jest przytłumiony i dyskretny. W czołgu, pod ciężkim kapturem pancerza, motor huczy potęgą zwycięskiej, przełamującej siły. Może tak właśnie szumiały skrzydła i dudniały kopyta ciężkich perszeronów polskiej husarii idącej do szarży. Kariers, po prostu ryczy i klekocze.

Na pierwsze już ćwiczenia polowe instruktorzy uprzedzali adeptów gąsienicowych:

—"To jest wóz bardzo łatwy do prowadzenia. Oczywiście trzeba pamiętać, iż są pewne różnice z samochodem. Przy szybkości ponad 20 mil gwałtowne skręty, to pewna śmierć. Kierowanie na wózek jest lepsze, bo szczęki nie zużywają się. Przy ruszaniu z drugiego biegu trzeba dać dużo gazu. No, i w ogóle trzeba uważać na drogach i przy płotach. Zawsze co 4 tony, to 4 tony. Ale, oczywiście panowie prowadzący samochody nie będą mieli większych trudności."

Samorodne talenty mechaniczne spojrzały po sobie.

* * *

Tygodnie szły bardzo szybko. Czas mijał niepostrzeżenie pod narkotykiem dalekich przejazdów szosowych, gdzie uwaga koncentrowała się na całym świecie zewnętrznym, zdumiewająco perfidnym i złośliwym świecie zewnętrznym. Dzieci i staruszki umyślnie wybiegały przed sunący się z góry kariers, płoty wyrastały akurat tam, gdzie trzeba było zrobić zakręt, rowki, do których wlazło się jedną gąsienicą były akurat tymi właśnie rowkami specjalnie przewidzianymi i zastrzeżonymi w regulaminie jako jedyny możliwy sposób unieruchomienia pojazdu gąsienicowego przeznaczonego, jak wiadomo, do pokonywania przeszkód terenowych.

W ogóle kierowanie kariersem pomyślane jest jak się zdaje jako szkoła charakteru. Przed kierowcą mniej więcej na wysokości jego nosa, wyrasta krawędź przedniej ściany stalowego pudła. Bezpośrednio w dół spojrzeć niepodobna, a przy zakrętach n.p. trzeba patrzeć właśnie w dół. O parę cali niżej znajduje się wprawdzie szybka z grubego szkła, ale nawet wówczas kiedy nie jest ona zapocona i zmatowana od oleistych wyziewów motoru, dla patrzenia przez nią należy zgiąć się w kabłąk, czemu znowu przeszkadza oparcie siedzenia.

Poza tym, na poduszkach siedzenia nie można niczego podłożyć dla dodania sobie wzrostu, bo wówczas nogi nie dosięgają pedałów. Zresztą i tak dla wprawnego kierowania należało by się zaopatrzyć w jeszcze jedną dodatkową rękę dla hamulca ręcznego i ze dwie nogi. Te ostatnie głównie do kopania instruktora, któremu przysługuje regulaminowe prawo bicia popędliwego, a nieumiejętnego kierowcy po obu uszach, rzekomo dla skrętów w prawo i w lewo i po głowie, dla zatrzymania wozu. Tyran ten może jeszcze wymachiwać pięścią przed nosem, dla dodania szybkości, wyrywać kierownicę z ręki, kiedy zdaniem ucznia jest jeszcze mnóstwo czasu i miejsca dla wyminięcia samochodu, a kariers wali się w kierunku pochyłości drogi, za co znów po jeździe słyszy się wydziwiania majora i wszystkich jadących z tyłu, że to się niby łamie kolumnę.

Poza tym nie regulaminowe, ale tym niemniej zwyczajowo ustalone prawo pozwala instruktorowi na kiwanie głową z politowaniem, jeżeli się zgasi motor na skrzyżowaniu ulic pośrodku zatłoczonego miasteczka ku radości gawiedzi i kierowcy drugiej zmiany, siedzącego z tyłu, któremu przytrafiło by się akurat to samo, gdyby na niego przypadła kolejka prowadzenia.

O jeździe w terenie lepiej nie mówić. Bardzo bolesna to sprawa kiedy wszystkie drzewa okoliczne, wszystkie zasieki z drutu i wszystkie dziury zbiegają się przed jednym niewinnym uczniem kariersowym i zachęcają, aby utknął na nich, wrócił późno z ćwiczeń i wskutek tego spóźnił się na obiad.

* * *

Mimo wszystko po dwóch miesiącach cierpień, piątkowych świąt konia, kiedy trzeba było kariersy czyścić, i manewrów chorągwianych, szczególnie bolesnych na oczach ludu — nawet wielkie samorodne talenty techniczne nabrały sentymentu do pokracznego i pękatego zwierza. Nie raz i nie dwa przekonali się wszyscy, iż po piasku, błocie i w lesie kariers mimo wszystko pójdzie. Tylko, jak mawiał kierownik nauk, trzeba uważać, co robią mądrzejsi koledzy . . .

MARIAN SYNKOWSKI

Szturmowcy

Długo się wszyscy namyślali, jak napisać, w jakiej formie i w ogóle, kto to ma zrobić. Następnie powstał projekt, że każdy napisze jeden dział, wybierze się komisję /koniecznie komisję! w ogóle bez komisji nic przecież nie można zrobić!/, która oceni, odrzuci, złoży, no i wyśle ten twór, gdzie należy, t.zn. do "Polski Walczącej." Wszyscy ją czytają a przy każdym nowym numerze słychać głosy: "O każdym kursie piszą, a o nas nic nie wiedzą, trzeba by koniecznie coś napisać . . . !"

Odważyłem się więc ja. Nigdy do "gazet" nie pisałem, ale liczę, że "naczelny" po kilku "zabiegach" pozwoli noworodkowi ujrzeć światło dzienne i artykuł "pójdzie w świat" czy "ujrzy światło dzienne."

Ale wróćmy do rzeczy a raczej do kursu. Cóż to za nowy kurs "władze" wymyśliły? Otóż zupełnie coś nowego, po prostu: "tego jeszcze nie było"! Oficerski kurs szturmowy.

Zjechała się wiara ze wszystkich zakątków starej Szkocji. Sama młodzież, tylko dwóch oficerów starszych, reszta podporucznicy. Nie brak tu nikogo, jest piechota w pelerynach z pod Narwiku, są "bogacze," "lewki w kratkę," "ci ze szkolnej," ułani pancerni wszystkich kolorów no i . . . "nie ma chłopów jak sapery." Cel wszyscy mamy jeden: szturmować! atakować! zdobywać!

Minęły czasy opóźniania, "z góry upatrzonych pozycji" i t.p. Nie chcemy już do tego powracać i wierzymy, że nigdy nie powrócimy! Na kursie podnosimy przede wszystkim naszą sprawność fizyczną, a więc gimnastyka codziennie. Od niej zaczynamy każdy dzień pracy. Dopiero na kursie dowiedzieliśmy się, ile mięśni posiadamy, bo każdy bolał z początku solidnie. Dzisiaj jesteśmy, jak "człowiek mucha" lub "człowiek guma."

Spinaczki po górach, płotach, murach, rusztowaniach, gzymsach i rynnach, cały tor szturmowy najeżony niezliczonymi i chytrymi przeszkodami to chleb powszedni szturmowca. A jeszcze pływanie w rzece lub w morzu w ubraniu, z bronią lub bez, w nocy lub w dzień — oto w kilku słowach nasze wyczyny fizyczne, o których tak łatwo pisać i przyglądać się im, a jakże trudno nieraz je wykonać!

Jeden człowiek, jeśli idzie o ten zakres, stale się martwi. Jest to nasz instruktor: "Co tu im jeszcze nowego wymyślić? Bo muszą przecież znać wszystko i na wszystkie ewentualności być przygotowani." Takie myśli go dręczą. Tak spokojnie, "bez nerw," a ile ten człowiek potu z nas wydusił! Jemu to zawdzięczamy, że nakłonił nas do poznania samych siebie, do sprawdzenia możliwości fizycznych i do wiary we własne siły.

Inny dział, najważniejszy, to wyszkolenie bojowe, a raczej szturmowe. Lądujemy, napadamy, nacieramy, szturmujemy i . . . zadymiamy. Właśnie wyraźnie widzę, jak dym dziwnie układa się w dwie litery "t.j." i niestety nic więcej nie widać, co się tam dzieje. Może kiedyś, kiedy na "tamtym brzegu" zasłona dymna opadnie, będzie można coś więcej napisać.

Jeden z ważniejszych działów to wyszkolenie saperskie. Schrony, ich budowa i rodzaje, pola minowe, ich wykrywanie i przechodzenie, przeprawy przez rzeki, cały dział minerstwa z wysadzaniem, niszczeniem i "czarną magią" saperską w postaci pułapek i t.p. — oto zajęcia wielu dni piechoty i ułanów, a "wolnego" dla saperów.

Pokazy "na codzień" lub "od święta" to już całkiem inny dział nie ujęty programem, ale robimy i to. Bez entuzjazmu, bo pachnie trochę "lipą," a tego zapachu młodzi bardzo nie lubią.

Kurs nasz się skończył i wróciliśmy do naszych oddziałów aby podzielić wiadomości — z naszymi podwładnymi i kolegami, a wkrótce będziemy już wszyscy umieli dawać sobie radę z każdym schronem umocnionym czy też z brzegiem francuskim lub niemieckim.

Byle prędzej! Byle bliżej!

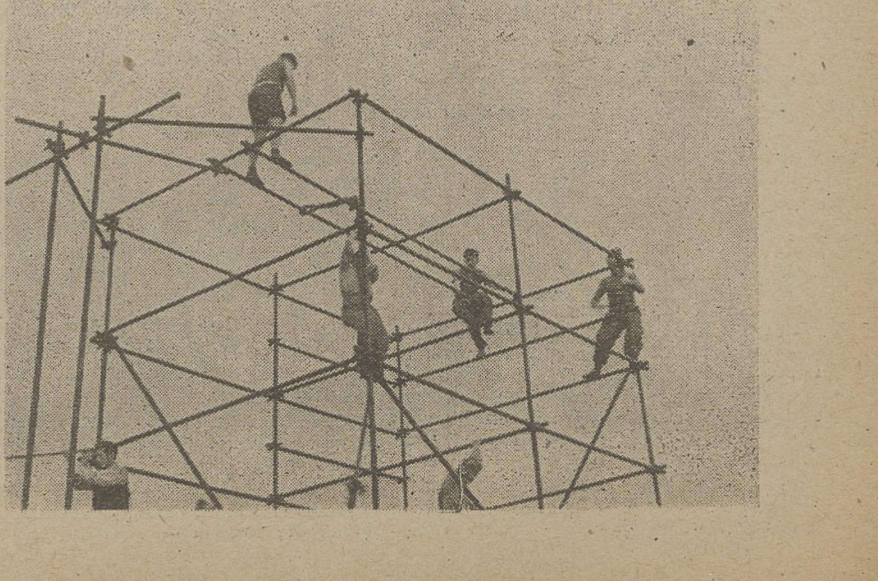
fotografował i napisał

MIECZYSŁAW BORCHÓLSKI

Gimnastyka



Na rusztowaniu



MARYNARKA WOJENNA — POLAKOM W ROSJI

Oficerowie, podoficerowie i marynarze Polskiej Marynarki Wojennej przekazują £250 /dwieście pięćdziesiąt funtów/ na pomoc Polakom w Rosji.

* * *

Przy niniejszym przesyłamy money order na sumę £7.12.1, złożoną przez I Baon Strzelców Podhalańskich na pomoc Polakom w Rosji. Kwota powyższa została uzyskana z zabawy tanecznej zorganizowanej w dn. 16 stycznia 1943 r. przez Oficera Oświatowego Baonu. Jednocześnie prosimy o pokwitowanie odbioru tej sumy na łamach "Polski Walczącej."

Z poważaniem

Szczepan Baczyński, kierownik

* * *

W załączeniu przesyłamy money order na sumę £4.1.6 /z przeznaczeniem na Pom. Polakom w Rosji/ pieniądze te zebrane zostały w dniu 28 lutego br. podczas koncertu Wozu Muzycznego Polskiej YMCA, koncertowała "Kubusiowa Kapela" dla żołnierzy K.U. Nr. 1.

Prosimy uprzejmie o potwierdzenie odbioru pow. sumy na łamach "Polski Walczącej."

Z poważaniem

Szczepan Baczyński, kierownik

* * *

W załączeniu przesyłam Money Order na łączną sumę £3.19.0 jako składki na Polaków w Rosji otrzymane od:

1. uczniów Państw. Liceum i Gimnazium Męskiego oraz Liceum Handlowego w Glasgowie zebrane w dniu 7.III.43	£2.10.0
2. Matki Przełożonej jednego z katolickich konwentów w Glasgowie	£1. 4.0
3. Jagły Wiktora	£0. 5.0
Razem	£3.19.0

Kierownik: Jawor

* * *

Życząc aby następne swe imieniny obchodzili w Wolnej Polsce zamiast indywidualnych powinszowań, bli-

Pomoc dla Polaków w Rosji: £8,245

skim mi Józefom, na biedne dzieci w Rosji £1.10.0 ze szczerym sercem śle

ks. A. Warakomski

* * *

Złożone na moje ręce sh.10 przez żołnierza — pancerniaka w czasie tegorocznej spowiedzi Wielkanocnej na dzieciska biedne z Rosji — przesyłam

ks. A. Warakomski

* * *

Z inicjatywy chorych przebywających w S . . . Sanatorium, urządzono zabawę sprzedaży licytacyjnej, na której zebrano sumę £4, przeznaczając ją na Fundusz Pomocy Polakom w Rosji. W zabawie uczestniczyli chorzy Szkoci.

Chorzy Polacy w S . . .

* * *

W dniu imienin ś.p. Marszałka Józefa Piłsudskiego, Wskrzesiciela Niepodległej Polski i Twórcy Armii, dla uczczenia Jego pamięci — przesyłam czek na £1.0.0 na pomoc Polakom w Rosji.

inż. T.B.

* * *

W załączeniu przesyłam czek na sumę £21.16.0 /dwadzieścia jeden funtów, 16 szylingów/ z prośbą o przekazanie go na pomoc Polakom w Rosji.

Powyższa suma została uzyskana z "licytacji" owoców południowych, przysłanych dla personelu latającego dyonu.

Adiutant Dyonu
W.D.Wł., ppor. techn.

* * *

Szanowny Panie Redaktorze!

W załączeniu przesyłam Postal Orders na sumę £3.0.0 /trzy funty/ z prośbą o przekazanie tej kwoty na Polskie Dzieci z Rosji.

Z poważaniem

J. B. Ferguson

* * *

sh.5 za miesiąc marzec na pomoc Polakom w Rosji.

ppor. Jan H. z S . . .

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £297.13.7 /słownie dwieście dziewięćdziesiąt siedem funtów, trzynaście szylingów i siedem pensów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £8,245.11.4½ /słownie osiem tysięcy dwieście czterdzieści pięć funtów, jedenaście szylingów, cztery i pół pensa/, 108 pesetów hiszpańskich, 28 dolarów kanadyjskich, 4 dolary amerykańskie i 15 czerwieńców.

Zbiórka książek dla żołnierzy polskich na Wschodzie

Przesyłam w załączeniu następujące książki z Biblioteki Żołnierskiej tut. Stacji, z prośbą o przekazanie ich Armii Polskiej na Środkowym Wschodzie:

Stanisław Ordon: "Łuna nad Warszawą" 16 egz. Kisielewski Józef: "Ziemia Gromadzi Prochy" 4 egz. Curie Ewa: "Maria Curie" 2 egz. Laskowski Otton: "Jan III Sobieski" 3 egz. "Walki w Obronie Granic" 7 egz. "Marsz Odwetowy" 1 egz. Ligocki Edmund: "Złota Chorągiew" 6 egz. "Wademecum Ortograficzne" 4 egz. "Bitwa nad Wyspami Brytyjskimi" 2 egz. Wdały Bolesław: "Niemcy w Polsce" 3 egz. Vansittart Robert: "Czarny Rejestr" 3 egz. Sobieski Wacław: "Historia Polski" tom I 14 egz., tom II 14 egz.

Komendant Szkoły
płk. pil. G.

* * *

Bezimiennie:

"Bulletin of the Polish Institute of Art and Sciences in America."

* * *

Bezimiennie:

St. Kot: Five Centuries of Polish Learning /5 egz./.

* * *

Szanowny Panie Redaktorze!

Przy niniejszym przesyłam 2 egz. "Wolność Polski na morzu" Henryka Bagińskiego dla naszych żołnierzy na Środkowym Wschodzie z myślą, aby ta doskonała książka przemieniła wielu przymusowych obieżyświatów w świadomych pionierów kolonialnych.

Z żołnierskim pozdrowieniem

pchor. J.S.

* * *

Oto przybywa jeszcze jedno ogniwo do łańcuszka niedługiego wprawdzie, ale stale powiększającego się "Zbiórki książek dla żołnierzy polskich na Wschodzie": Wiersze o Warszawie /zbiorowe/. Chrześcijański ustrój społeczny. Adamski: Śpiewnik Narodowy. Ligocki: Złota chorągiew. Sulimirski: Najstarsze dzieje narodu polskiego. Mickiewicz: Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego. Mickiewicz: Pan Tadeusz. Walki w obronie granic /zbiorowe/. Vansittart: Czarny rejestr. Pomian: Rzeczpospolita. Halpern: Basic English /2 egz./ Kalendarz P.C.K. /2 egz./ i wiele innych /F. B. Czarnomski: Sam na sam czyli rozmowa z Mackiewiczem o Mackiewiczu. Mackiewicz: Styczeń 1942. Polish Phrase Book. Zagrody i wspólnoty. Mackiewicz: Lwów i Wilno. Umiastowski: 12 mil do Warszawy . . . 30 mil do Paryża. Low: Europe at War. P. Skarga: Proroctwo. A Kard. Hlond: O chrześcijańskie zasady życia państwowego. Ustawa konstytucyjna./

Łączymy wyrazy poważania

Włoch Krzysztof, Makowski Stanisław, Matysik Artur, Blank Edward

* * *

Do Redakcji "Polski Walczącej,"

Przy niniejszym załączam dwie książki ofiarowane dla naszych żołnierzy na Środkowym Wschodzie przez p. sierż. pil. E. S . . . /"Wiatr od morza" i "Kraj lat dziecinnych"/.

Załączam wyrazy szczerego uznania i pozdrowienie żołnierskie.

pchor. J.S.

* * *

Wielce Szanowny Kolego Redaktorze!

W myśl Waszego wezwania w "Polsce Walczącej" składam do Waszych rąk dla Żołnierzy Polskich na Bliskim Wschodzie trzy egzemplarze mojej książki "Wolność Polski na morzu," jako równoważnik za nadesłane honorarium za mój artykuł w nr. 5 "Polski Walczącej" p.t. "Zagadnienie kolonialne."

Łączę przy tej okazji najlepsze wyrazy szacunku i serdeczne pozdrowienia dla Szanownego Redaktora.

Inż. Henryk Bagiński

ZARZĄD ZWIĄZKU DZIENNIKARZY R.P.
sekcja w Londynie
zwołuje na niedzielę, 4 kwietnia 43
NADZWYCZAJNE WALNE ZEBRANIE CZŁONKÓW

Na porządku dziennym sprawa cenzury stosowanej wobec prasy polskiej w Anglii

Zebranie odbędzie się w lokalu Ogniska Polskiego 45, Belgrave Square, London, S.W.1. o godzinie 10.30 w pierwszym terminie lub o godzinie 11 tej w drugim terminie

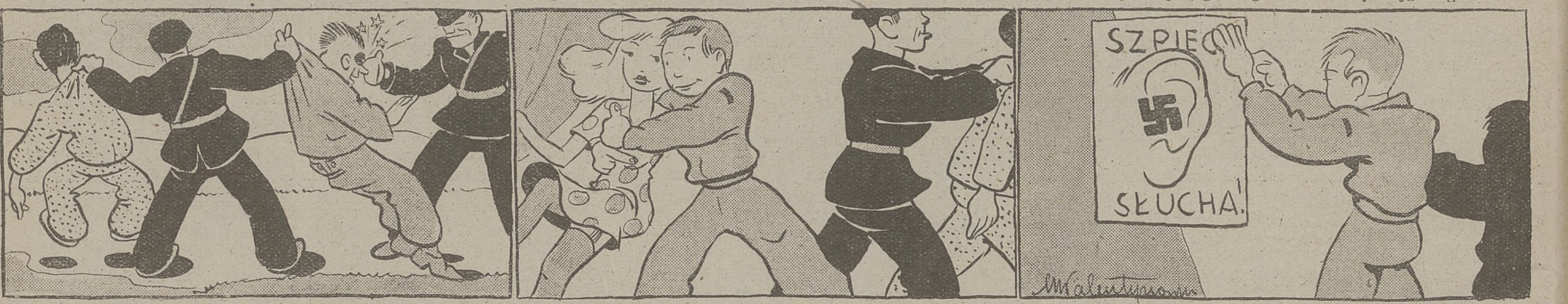
Zarząd prosi o wcześniejsze zgłaszanie udziału pod adresem 11, Gower Str., London, W.C.1. /Free Europe/.

PRZYGODY WALENTEGO POMPKI

Tekst: RYSZARD POBÓG — *Rysunki: MARIAN WALENTYNOWICZ*



Pompka jednak nie stracił / Zimnej krwi i pamięci— / Kierownicę pochwycił / I gwałtownie ją skręcił. / Wóz zarzucił na prawo, / Potem machnął się w lewo, / No i grzmotnął na koniec / Z całej siły o drzewo. / Zanim ktoś się połapał / Gdzie jest ręka, gdzie głowa— / Inne auta przybyły / I policja drogowa.



Dalej poszło jak z płatka. / Strzały. Krzyki. Kryminał. / Jednym słowem sensacja. / Standartowy film z kina. / Dwóch gangsterów złapano, / Choć krzywili się krzynkę. / Pompka też nie próżnował. / Złapał chytrą blondynkę. / Choć nazajutrz Walenty / Znowu minę miał zucha— / Lecz w pokoju zawiesił / Mądry plakat: "Szpieg słucha."

SPIS RZECZY:

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh. 20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.